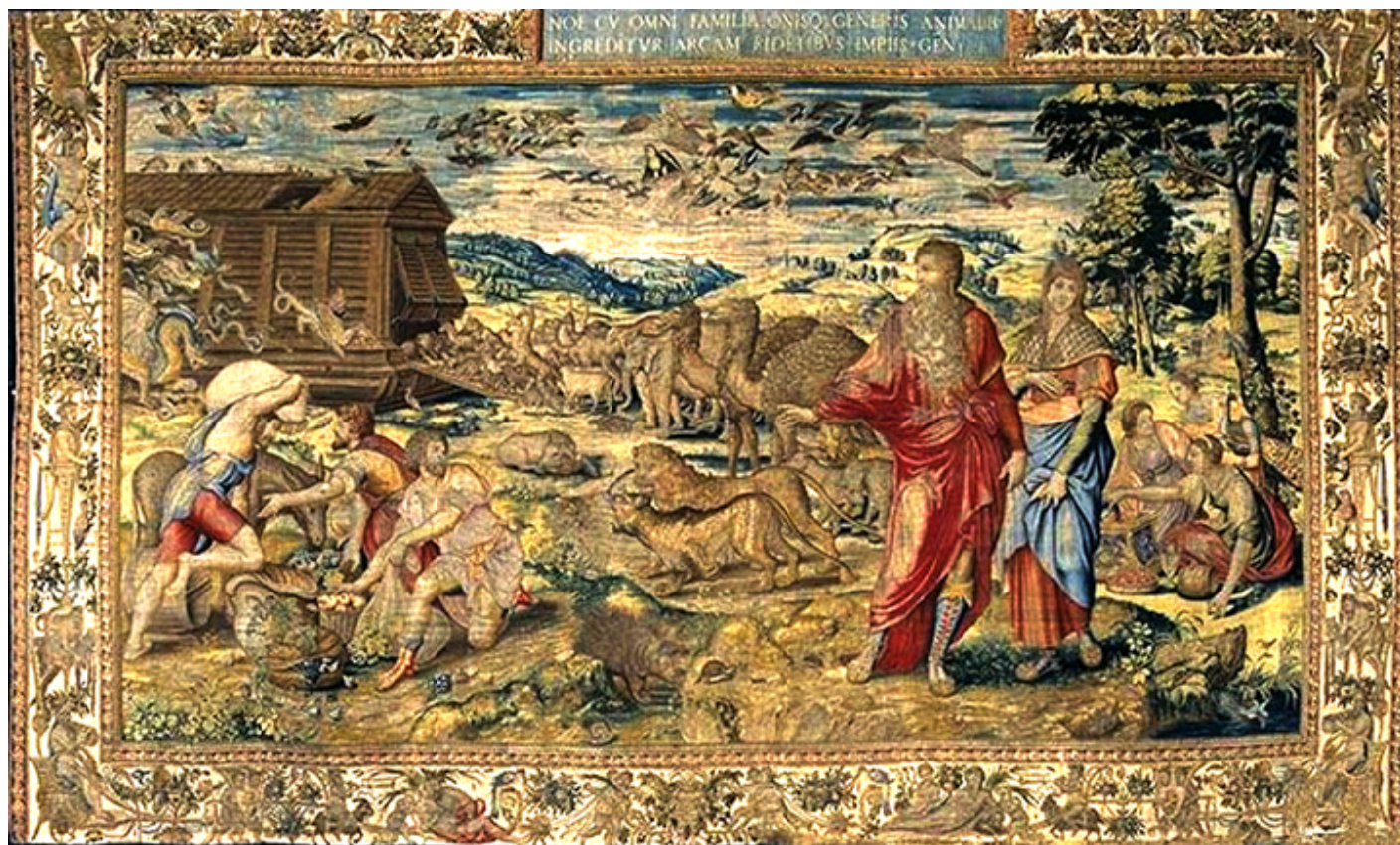


Fascynujące losy królewskiej kolekcji arrasów wawelskich

Katarzyna Szrodt (*Montreal*)



Wejście zwierząt do arki. Seria Dzieje Noego, pracownia Jana de

Kempeneera, projekt Michiel Coxie, ok. 1550 r., (w:) J. Szablowski, *Arrasy flamandzkie w Zamku Królewskim na Wawelu*, wyd. Arkady, Warszawa 1975, fot. wikimedia commons

W 2021 roku wystawą „Wszystkie arrasy króla. Powroty 2021-1961-1921” Zamek Królewski na Wawelu uczcił powrót, w 1921 roku, zrabowanych przez Rosję arrasów oraz powrót kolekcji z Kanady, w 1961 roku, po dwudziestu latach opieki nad nimi przez Polonię kanadyjską.

Ponad sto tysięcy osób zobaczyło wystawę, która *de facto* była pierwszą tak kompleksową prezentacją wyjątkowego zbioru arrasów Zygmunta Augusta. We wnętrzach Reprezentacyjnych Komnat Królewskich oraz w przestrzeni specjalnie stworzonej na użytek wystawy wyeksponowanych zostało 128 tkanin.

Jak to często bywa z dziełami sztuki wielkiej wagi – bezcennymi i unikalnymi, kolekcja arrasów Zygmunta Augusta ma burzliwą historię zasługującą na nieustanne przypominanie, gdyż nierozzerwalnie wiążą się z nią losy naszej ojczyzny, jak i losy jednostek, o których warto pamiętać.



Rozmowa Boga Ojca z Noem. Seria Dzieje Noego. pracownia Jana de Kempeneera, projekt Michiel Coxie, ok. 1550 r., (w:) J. Szablowski, Arrasy flamandzkie w Zamku Królewskim na Wawelu, wyd. Arkady, Warszawa 1975, fot. wikimedia commons

DZIEJE ARRASÓW

Arrasy – tkane obrazy, inaczej zwane tapiseriami, oponami, szpalerami – są dekoracyjnymi dywanami ściennymi, tkanymi na krośnie, najczęściej niciami wełnianymi i jedwabnymi, na podstawie kartonów wykonanych przez malarzy. Tkactwo artystyczne w epoce renesansu było sztuką niezwykle cenioną, zarówno we Włoszech, jak i w Niderlandach czy we Francji, rozwinęły się słynne w całej Europie ośrodki tkackie. Miejscowość Arras we Francji posiadała znane

manufaktury, a powstające w nich tkaniny nazwano „arrasami”, co dało nazwę dużym tkaninom ściennym. Na terenach wykupionych przez Ludwika XIV od rodziny Gobelin, założono manufakturę tkacką, od której pochodzi nazwa „gobelin”, nazywająca tapiserie przeznaczone na meble, baldachimy, ozdoby okien i drzwi. Do szczytowego rozkwitu technika tapisjerska doszła w południowych Niderlandach: w Brukseli, Brugii, Antwerpii, Gandawie, zaś w północnych Niderlandach ceniono manufaktury w miastach: Amsterdam, Delf i Gouda.

Gdy Zygmunt Stary i królowa Bona Sforza rozbudowali Wawel w stylu renesansu włoskiego, zakupili w Antwerpii i Brugii kilka arrasów mających ocieplić i ozdobić komnaty królewskie. Syn ich, król Zygmunt August, zamiłowanie do tkanych obrazów zamienił w prawdziwą pasję i w latach 1550-1560 zamówił w brukselskich warsztatach ponad 160 tkanin. Było to największe zamówienie w manufakturach tkackich dla jednego odbiorcy. Największe arrasy, o tematyce zaczerpniętej z Księgi Rodzaju (4,8 m wysokości x 8,8 m długości), powstały na podstawie projektów znakomitego artysty Michiela Coxcie z Malines, zwanego „Rafaelem flamandzkim”. Inspirowane monumentalnym malarstwem Michała Anioła z Kaplicy Sykstyńskiej, reprezentują fazę dojrzałego renesansu, imponują bogactwem pomysłów, doskonałością obrazowania, kolorystyką, wielkością i precyzją. Zygmunt August sporządzając testament zapisał kolekcję arrasów trzem siostrą, zastrzegając, by po ich śmierci przeszła

na własność Rzeczypospolitej. W 1764 roku, z okazji koronacji Stanisława Augusta, cała kolekcja arrasów znalazła się na Zamku Królewskim w Warszawie i wyeksponowane w salach zamku tkaniny nadały splendoru temu wydarzeniu. Po zakończeniu uroczystości koronacyjnych, arrasy przechowywane były w Warszawie, w Pałacu Krasińskich, który pełnił rolę archiwum państwowego. W 1795 roku, podczas oblężenia Warszawy, wojska carskie, na rozkaz Katarzyny II, zrabowały całą kolekcję arrasów. 157 tkanin wywiezionych zostało do Rosji i rozparcelowanych do różnych miejsc: Pałacu Zimowego, rezydencji w Gatchynie, pałacu w Liwadii na Krymie, do muzeum Stajni Dworskich i Dyrekcji Teatrów. We wszystkich tych miejscach arrasy były traktowane barbarzyńsko: przycinano tkaniny, by pasowały na ściany, rozcinano je na mniejsze, by zrobić z nich narzuty na kanapy, dziurawiono je, umieszczano w wilgotnych pomieszczeniach. Dopiero w efekcie postanowień Traktatu Ryskiego z 1921 roku, kończącego wojnę polsko-bolszewicką, arrasy zaczęły powracać sukcesywnie z Rosji Sowieckiej. Powracały partiami przez kilka lat, aż do 1928 roku. Z wywiezionych 157 sztuk zwrócono nam 136 w bardzo złym stanie, zaś 21 arrasów nie udało się odzyskać.



Potop. Seria Dzieje Noego, pracownia Jana de Kempeneera, projekt Michiel Coxie, ok. 1550 r., (w:) J. Szablowski, Arrasy flamandzkie w Zamku Królewskim na Wawelu, wyd. Arkady, Warszawa 1975, fot. wikimedia commons

LOSY SKARBÓW WAWELSKICH w KANADZIE

Już w sierpniu 1939 roku, przeczuwając niebezpieczeństwo wojny, dykcja Zamku Królewskiego na Wawelu podjęła decyzję, by ewakuować z Wawelu 132 arrasy, jak również bezcenne pamiątki narodowe: inkunabuły (najstarsze księgi), regalia królewskie (w tym Szczerbiec – miecz koronacyjny), militaria z XVII wieku (chorągwie, zbroje, rzędy końskie) oraz rękopisy Fryderyka Chopina. Bezczne dzieła sztuki wagi narodowo-historycznej, w liczbie 278 obiektów, zapakowane

zostały do żelaznych skrzyń i pod opieką dwóch kustoszy – Józefa Krzywdy-Polkowskiego i Stanisława Świerz-Zaleskiego, 3 września opuściły Kraków. Pierwszym przystankiem w ucieczce

przed pościgiem niemieckim była ambasada polska w Bukareszcie. Z Rumunii skrzynie przetransportowano do Francji, gdzie w miejscowości Aubusson, francuscy konserwatorzy osuszyli arras zamoczone w trakcie podróży. W noc przed kapitulacją Francji, z portu w Bordeaux, w ostatniej chwili Skarby Wawelskie odpłynęły do Londynu. Zgodnie z decyzją rządu polskiego na uchodźstwie, cenny ładunek wysłany został do Kanady i 12 lipca 1940 roku wszystkie skrzynie, pod opieką Stanisława Świerz – Zaleskiego i Józefa Krzywdy – Polkowskiego, bezpiecznie dotarły na statku „Batory” do portu w Halifaxie. Znalezienie właściwego miejsca dla 24 skrzyń, zdobycie zgody na to, by polski Skarb Narodowy mógł być przechowany w Kanadzie, zabezpieczenie środków finansowych na konserwację – to wszystko spoczęło na barkach dwóch konsuli generalnych: dr Tadeusza Brzezińskiego i Wiktora Podoskiego.

Dzięki znajomości z dyrektorem Archive National w Ottawie, już w sierpniu 1940 roku skrzynie znalazły się w oddziale archiwów, na farmie eksperymentalnej pod Ottawą. Stałymi opiekunami Skarbów, odpowiedzialnymi za ich przegląd i konserwację, pozostawali dwaj kustosze z Wawelu – Józef Polkowski i Stanisław Zaleski, traktujący swoją misję z ogromną powagą i odpowiedzialnością. Co dwa-trzy miesiące otwierali skrzynie,

wykładali z nich wszystkie precjoza, rozpościerali i wietrzyli arrasy, a wymagające naprawy obiekty poddawali konserwacji. Kilka arrasów zostało podszytych płótnem w celu ich wzmocnienia, rzędy końskie były sukcesywnie czyszczone i natłuszczane, czyszczono złote i srebrne regalia, naprawiono uszkodzenia w chorągwiach. Z każdej takiej inspekcji kustosze sporządzali dokładny raport wysyłany do rządu polskiego w Londynie.



Arras z herbem Polski i królewskimi monogramami S.A.

(*Sigismundus Augustus*), ok. 1555 r., Bruksela, projekt – z kręgu Fransa Florisa i Cornelisa Bosa, (w:) J. Szablowski, *Arrasy flamandzkie w Zamku Królewskim na Wawelu*, wyd. Arkady, Warszawa 1975, fot. wikimedia commons

We wrześniu 1944 roku Wiktor Podoski odwołany został do Londynu, a na jego miejsce przyjechał do Ottawy Wacław Babiński – poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny przy rządzie kanadyjskim. Wacław Babiński, z ramienia rządu londyńskiego przejął pieczę nad Skarbami Wawelskimi. W marcu 1945 roku, obserwując sytuację w Polsce, opiekunowie podjęli decyzję o rozproszeniu Skarbów w kilku miejscach: dwa kufry z inkunabułami znalazły się w skarbcu Bank of Montreal w Ottawie, 33 kufry z arrasami i precjozami umieszczono w klasztorze St. Anne-de-Beaupre w prowincji Quebec, 9 kufrów oddano na przechowanie w klasztorze Precious Blood w Ottawie.

Wkrótce rozpoczął się dla opiekunów Skarbu niezwykle trudny etap. Koniec wojny i zmiany ustrojowe w Polsce spowodowały przybycie do Ottawy konsula komunistycznego Alfreda Fiderkiewicza i tym samym Wacław Babiński pozbawiony został uprawnień dyplomatycznych. W gronie osób opiekujących się Skarbami Wawelskimi pojawiła się poważna obawa, iż Skarby Wawelskie wysłane zostaną do ZSRR. Konsul Fiderkiewicz na pierwszym i jedynym spotkaniu z dwoma kustoszami, starał się przekonać ich do współpracy i tym samym uzyskać dostęp do Skarbów. Stanisław Świerż-Zaleski zdradził sprawę i

zadeklarował chęć współpracy z Fiderkiewiczem, gdy tymczasem Jan Polkowski, oburzony postawą dotychczasowego współtowarzysza misji, zdecydowanie odmówił, twierdząc, że nie ma gwarancji, by Skarby powróciły bezpiecznie na Wawel.

Jeszcze tej samej nocy Wacław Babiński i Jan Polkowski zorganizowali transport, którym przewieźli Skarby do Muzeum Prowincjonalnego w Quebec City, zostawiając dwa kufry w Bank of Montreal w Ottawie. Gdy konsul Fiderkiewicz i Stanisław Zaleski pojawili się w klasztorze St. Anne-de-Beaupre, pomimo wypowiedzenia tajnego hasła „Matka Boska Częstochowska” poinformowani zostali, że Skarbu nie ma i nie wiadomo kto go zabrał. Szczęśliwie, pod koniec grudnia 1948 roku, dołączył do Wacława Babińskiego i Jana Polkowskiego, Stefan Kątski, malarz, profesjonalny konserwator, oddając sprawie opieki nad Skarbami swój czas i fachową wiedzę. Dzięki jego inicjatywie, dotychczas składane arrasy, nawinięto na specjalne bębny i okryto brezentem. Kilkakrotnie w ciągu roku ekipa opiekunów, z Wacławem Babińskim na czele, jeździła do Ottawy, by otworzyć wszystkie kufry, sprawdzić stan obiektów, przewietrzyć arrasy, w razie potrzeby dokonać napraw. Każda z wizyt opisywana była dokładnie w raportach wysyłanych do Londynu.



Arras z królewskimi monogramami S.A. (*Sigismundus Augustus*),
ok. 1555 r., Bruksela, projekt - z kręgu Fransa Florisa i
Cornelisa Bosa, (w:) J. Szablowski, *Arrasy flamandzkie w Zamku
Królewskim na Wawelu*, wyd. Arkady, Warszawa 1975, fot.
wikimedia commons

W 1949 roku prezydent RP rządu na uchodźstwie August Zaleski
powołał inicjatywę zwaną Skarbem Narodowym, będącą zbiórką
pieniędzy na konserwację Skarbów Wawelskich w Kanadzie.
Skarbem Narodowym w Quebecu kierował pułkownik Andrzej
Liebich, a zaangażowani w zbiórkę pieniędzy byli także Tadeusz

Romer i Wacław Babiński. W 1953 roku, z inicjatywy Wacława Babińskiego, zaproszono na przegląd Skarbów znanego fotografa Yousufa Karsha, który wykonał profesjonalne zdjęcia obiektów. By uciszyć nagonkę mediów i dyplomacji komunistycznej, oskarżającej Polonię i rząd prowincjonalny o kradzież polskich Skarbów Narodowych, w prasie polonijnej i kanadyjskiej ukazały się zdjęcia i artykuły pokazujące stan zachowania precjozów. Z powodu tych nieustannych oskarżeń pod adresem Polonii kanadyjskiej, mającej ponoć przywłaszczyć i rozgrabić skarby wawelskie, do sprawy włączył się premier Quebecu Maurice Duplessis oraz najwyżsi hierarchowie kościoła quebeckiego. Ze strony Polonii do negocjacji z rządem komunistycznym zaproszony został pianista Witold Małcużyński zaś ze strony polskiej włączył się do rozmów kardynał Stefan Wyszyński.

Dzięki zabiegom negocjatorów 22 grudnia 1958 roku doszło do spotkania w Ottawie delegacji z Polski, której przewodniczył profesor Jerzy Szablowski z opiekunami skarbów oraz adwokatami reprezentującymi obie strony. W spotkaniu sam na sam w hotelu z profesorem Szablowskim, Józef Polkowski wyjaśnił, że główną jego intencją od samego początku, była opieka nad Skarbem Narodowym i potrzeba gwarancji, że powróci on na Wawel. Gdy Polkowski otrzymał takie zapewnienie – adwokaci spisali warunki powrotu. Pierwsza partia zawierająca inkunabuły z Bank of Montreal w Ottawie wysłana została w styczniu 1959 roku statkiem „Sztokholm”. Po

śmierci premiera Quebecu Maurice'a Duplessis, we wrześniu 1959 roku, kardynał Stefan Wyszyński podjął rozmowy z przedstawicielami episkopatu Kanady: kardynałem Leger i arcybiskupem Roy oraz z władzami prowincjonalnymi, czego efektem była decyzja powrotu drugiej partii Skarbów na Wawel.

2 stycznia 1961 roku – 132 arraszy oraz wszystkie pozostałe skrzynie z regaliami, militariami, chorągwiami i precjozami odjechały do Bostonu, a stamtąd statkiem „Krynica” odpłynęły do Polski. – *Niektóre egzemplarze wróciły w lepszym stanie niż wyjechały. Stan ogólny – bardzo dobry* – napisał profesor Jerzy Szablowski. Po trzech miesiącach przygotowano na Wawelu wielką wystawę Skarbu Narodowego, który przez dwadzieścia lat przebywał w Kanadzie pod dobrą opieką.

Tak oto zakończyła się międzynarodowa „afery przywłaszczenia Skarbów Wawelskich przez Polonię i rząd kanadyjski”. W całej tej grze politycznej zapomniano o tych, którzy przez lata sporów i rozmów kularowych, sumiennie i bezinteresownie, narażając się niejednokrotnie na środowiskowy ostracyzm, dbali o stan zachowania pamiątek narodowych.



Michiel Coxie, Arras naddrzwiowy z herbem Polski na tle krajobrazu z bobrem i jeżozwierzem, ok. 1560 r., fot. Małopolski Instytut Kultury w Krakowie, wikimedia commons

Wacław Babiński, Józef Krzywdą-Polkowski, Stefan Kątski – są godnymi bohaterami epopei Skarbów Wawelskich, przechowywanych przez dwadzieścia lat w Kanadzie. Przez lata wierni idei ich ocalenia, pozostali nieskazitelnie szlachetnymi obrońcami idei, jakby do nich adresował Zbigniew Herbert swoje „Przesłanie Pana Cogito”:

...Masz mało czasu trzeba dać świadectwo

Bądź odważny gdy rozum zawodzi bądź odważny

W ostatecznym rachunku jedynie to się liczy.

W ostatecznym rachunku jedynie liczyło się, że Skarb Narodowy powrócił w dobrym stanie zachowania na Wawel, gdzie od wieków było jego miejsce.

*

ŹRÓDŁA: Antoń R., Skarby Wawelskie w Kanadzie w latach 1940-1960, Krosno 2021; Balawyder A., The Odyssey of Polish Treasures, Canada 1978; Fiderkiewicz A., Na placówce w Kanadzie, Warszawa 1973; Grzeloński B., Dyplomacja i arras. Wokół powrotu zbiorów wawelskich do Polski 1945- 1961, Kraków 2016; Janta-Połączyński A., Losy i ludzie. Spotkania-przygody-studia 1930-1960, Nowy Jork – Londyn 1961; Kijewska-Trembecka M., Losy Skarbów Wawelskich w Kanadzie, Studia Migracyjne – Przegląd Polonijny, nr 1 (163) 2017; Lewicka M., Dole i niedole wawelskich arrasów, Wyd. Szkolne i Pedagogiczne 1974; Szablowski J., Odyseja skarbów narodowych, Kraków 1960.

*

Zobacz też:

Stefan Kątski (1898-1978). Kanadyjski portret artysty.

Powrót Stefana Kątskiego do Sanoka

Wanda Babińska - córka Wacława Babińskiego

Wojna - Poezja - Dyplomacja. Nieznana poetka - Wanda Babińska.

Polaków

i Teksasńczyków łączy dążenie do wolności

Wizyta byłego prezydenta Polski – Lecha Wałęsy w Austin



Lech Wałęsa podczas wystąpienia na Uniwersytecie w Austin

Joanna Sokołowska-Gwizdka (Austin, Teksas)

- Uniwersytet Teksaski w Austin gościł prezydenta Franklina D. Roosevelta, Martina Luthera Kinga, Dalajlamę, a teraz ma zaszczyt gościć człowieka, którego pojawienie się na światowej scenie okazało się początkiem końca Związku Radzieckiego, Lecha Wałęsę - tak prezydent Uniwersytetu Jay Hartzell przywitał polskiego byłego prezydenta i 400-osobowy tłum, który 5 maja 2022 roku zebrał się w Audytorium Uniwersytetu, aby posłuchać wykładu „Wojna Rosji z Ukrainą i jej globalny wpływ”.

Wojna na Ukrainie na pewno spowodowała ponowne ogromne zainteresowanie Lechem Wałęsą, postacią - legendą, twórcą „Solidarności”, który przyczynił się do obalenia komunizmu. Darmowe bilety zniknęły błyskawicznie, a sala obok, gdzie można było śledzić spotkanie na telebimach, też była wypełniona po brzegi.



Prezydent Uniwersytetu Jay Hartzell zapowiada spotkanie Pomysłodawcą i jednym z organizatorów wizyty był niezwykle prężnie działający Polski Klub, składający się ze studentów Uniwersytetu w Austin (The Polish Club at UT). Założycielem i prezesem Klubu jest nie tylko pełen pomysłów, ale też energiczny i konsekwentny w ich realizacji – Nathan Silverstein, który na studia w Teksasie przyjechał z Kalifornii. Klub zaprasza na spotkania wybitne osobowości związane z historią Polski. W marcu np. odbyło się spotkanie przez platformę Zoom z prof. Normanem Davisem.

Mama Nathana, dr Teresa Grabiec-Silverstein też była gościem jednego ze spotkań Klubu za pośrednictwem platformy Zoom. Opowiadała o stanie wojennym w Polsce, aresztowaniu jej ojca – działacza „Solidarności” i ciężkich przeżyciach związanych z tym

okresem. Teraz przyjechała z Kalifornii na spotkanie z prezydentem Lechem Wałęsą i pomagała Polskiemu Klubowi w organizacji wieczoru.

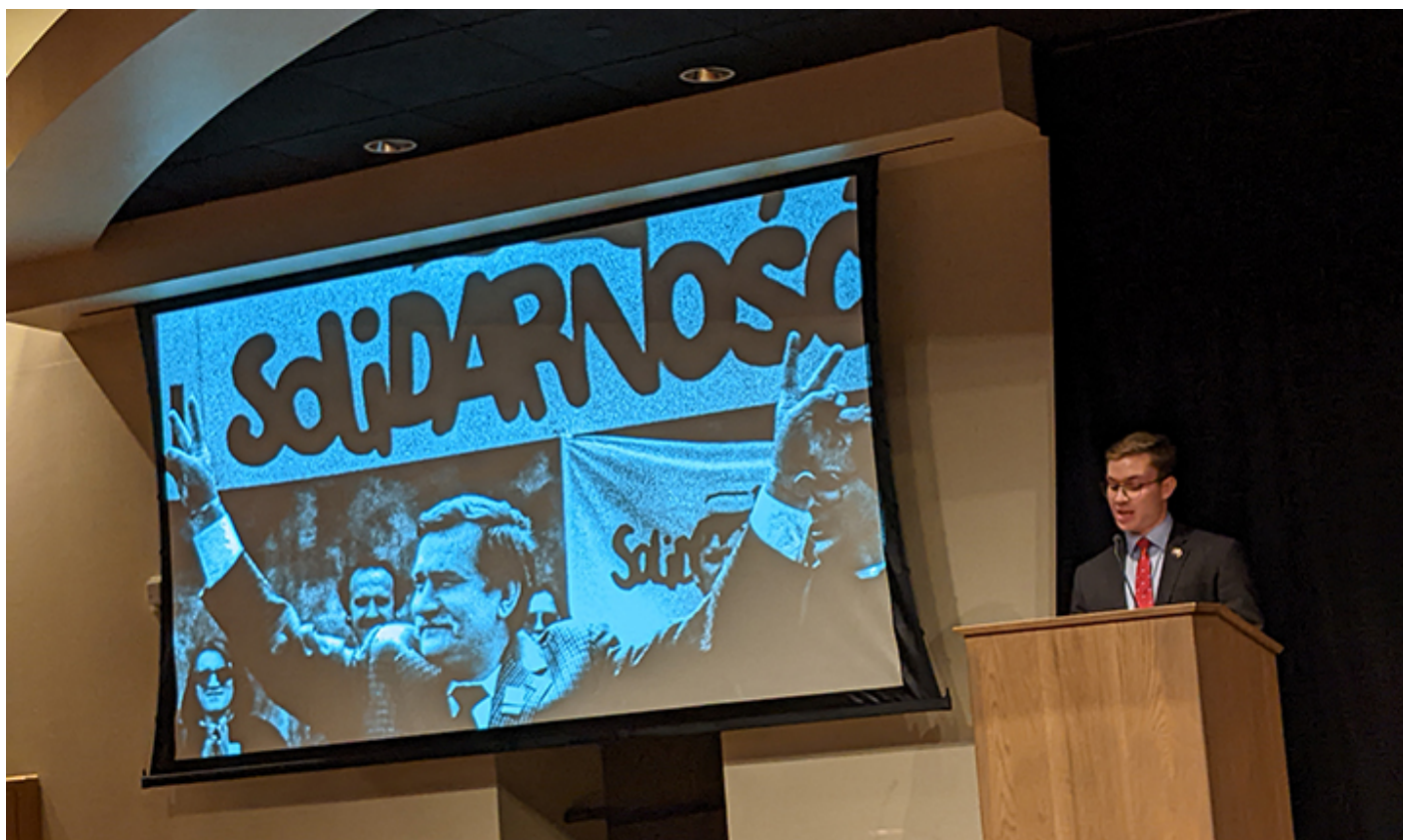
Studenci podeszli z szacunkiem do tej historycznej wizyty, ubrani w garnitury, białe koszule i czerwone krawaty, wyróżniali się na tle innych gości.

Oprócz pomysłodawcy do organizacji wizyty Lecha Wałęsy w Austin włączyły się takie instytucje oraz wydziały uniwersyteckie jak: Clements Center for National Security, Center for Russian, East European and Eurasian Studies, Center for European Studies, Liberal Arts Honors Program, McCombs School of Business, Department of Business, Department of Government, Government & Society oraz Texas Global.

Po przemówieniu prezydenta Uniwersytetu, Nathan Silverstein przedstawił Lecha Wałęsę. Zwrócił uwagę na jego osiągnięcia jako prezydenta Polski – *Nadzorował przejście do wolnorynkowej, liberalnej demokracji, z sukcesem wynegocjował wycofanie wojsk radzieckich z Polski. Był także głównym zwolennikiem członkostwa Polski w NATO i UE* – powiedział.



Założyciel Polskiego Klubu, **Nathan Silverstein**, opowiada o Lechu Wałęsie



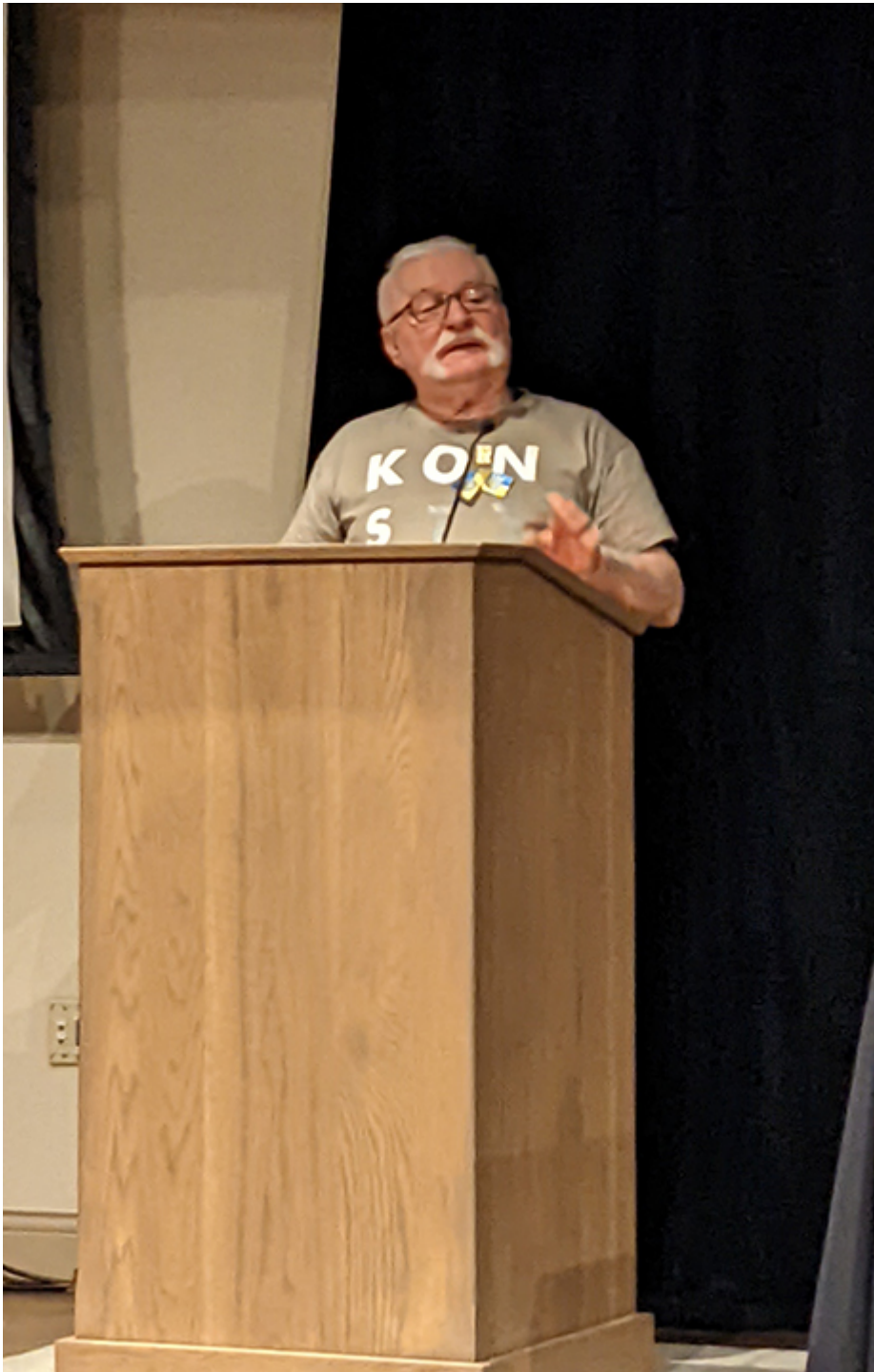
Założyciel Polskiego Klubu, Nathan Silverstein, opowiada o Lechu Wałęsie

Lech Wałęsa jest laureatem Pokojowej Nagrody Nobla (1983) i pierwszym prezydentem Polski po upadku komunizmu (1990-1995). Był współzałożycielem i liderem ruchu „Solidarność”, który doprowadził do demokratycznych wyborów w Polsce w 1989 r., przyczynił się do rozpadu Związku Radzieckiego i zakończenia zimnej wojny. W szczytowym okresie „Solidarność” liczyła ponad 10 milionów członków. Wałęsa został Osobą Roku *Time Magazine* w 1981 roku i znalazł się na liście 100 najważniejszych osób XX wieku *Time Magazine*. Posiada ponad 40 stopni honorowych, m.in. z Harvardu, Uniwersytetu Columbia, czy z Sorbony. Jest laureatem Prezydenckiego Medalu Wolności USA, Wielkiego Krzyża Rycerskiego Brytyjskiego Orderu Łaźni oraz Wielkiego Krzyża Legii Honorowej Francji. W 1989 r. jako pierwszy gość zagraniczny i nie głowa państwa przemawiał na posiedzeniu Kongresu USA.

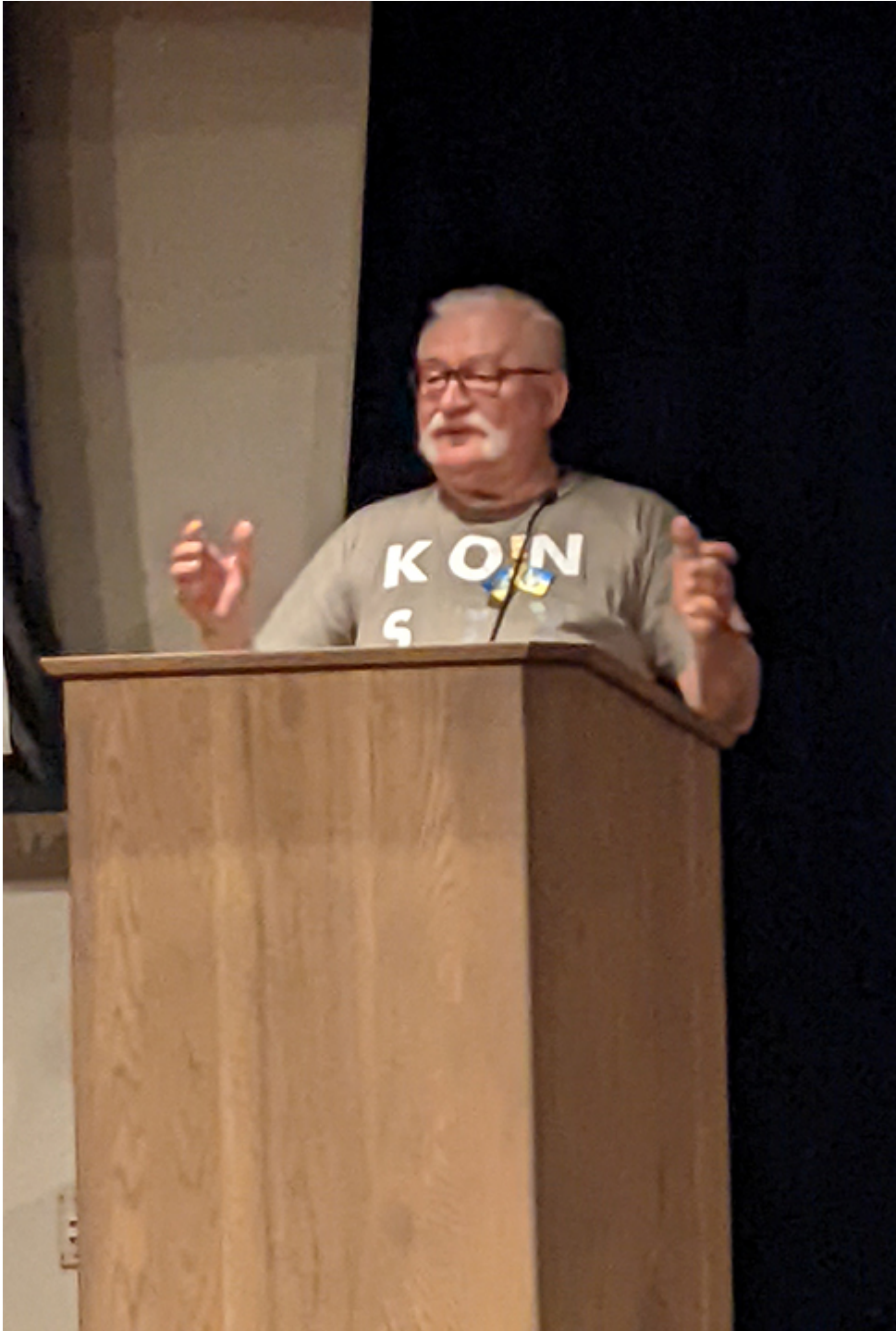
Po przedstawieniu sylwetki prezydenta, uczestnicy spotkania mogli zobaczyć krótki film o nim i czasach „Solidarności”.

Po wejściu na mównicę Lech Wałęsa zdjął marynarkę i powiedział, że spotkanie to będzie „na luzie” i żeby nie spodziewać się typowego wykładu. I faktycznie, właściwie od pierwszego zdania sala wybuchła śmiechem. Prezydent powiedział, że stosunki Niemców z Rosją zawsze były dość ścisłe,

więc się często nawzajem odwiedzali. A, że Polska leżała po drodze, to albo jedni, albo drudzy się tu zatrzymywali i zazwyczaj zostawali na dłużej. Tak było np. po II wojnie światowej, kiedy Sowieci wkroczyli do Polski i narzucili nam własny system gospodarczy i polityczny.



Lech Wałęsa podczas wystąpienia na Uniwersytecie w Austin



Lech Wałęsa podczas wystąpienia na Uniwersytecie w Austin

Z powodu wieloletniego doświadczenia z Rosją, Polacy mają dar dostrzegania rzeczy, które mogą się wydarzyć. – *Na długo przed wybuchem II wojny światowej* – zauważył Wałęsa – *mówiliśmy*

ludziom, że nadchodzi. Ale świat nas nie słuchał... Jako Polacy odczuwamy dziś ten sam rodzaj niepokoju. Tym razem zachęcamy wszystkich do słuchania nas.

Lech Wałęsa podkreślił konieczność odzyskania przez Stany Zjednoczone wiodącej roli w świecie, roli lidera. – Kiedyś Stany Zjednoczone prowadziły gospodarczo, militarnie i politycznie. Nadal chcemy, aby Stany Zjednoczone przewodziły światu.

Innym poruszonym tematem była technologia, która zmieniała podejście do granic i państwowości. Powiedział, że zarówno jego ojciec, jak i dziadek walczyli o granice Polski, że wtedy granica oznaczała bezpieczeństwo i suwerenność. I pewnie w grobie by się przewrócili, gdyby wiedzieli, że on walczy o to, żeby granice znieść. – Epoka państw i narodów dobiega końca – powiedział – a na horyzoncie widzimy erę globalizacji, intelektu i technologii.

– Mamy szansę na pokój i rozwój, ale musimy otworzyć się na dyskusję i dostosować wszystkie prawa i zasady, którymi żyliśmy do tej pory – mówił dalej.

Swoje wystąpienie podsumował marzeniem, aby obecne pokolenie było znane z walki, pokojowego pozbycia się komunizmu i budowania lepszego, bardziej sprawiedliwego świata dla wszystkich.

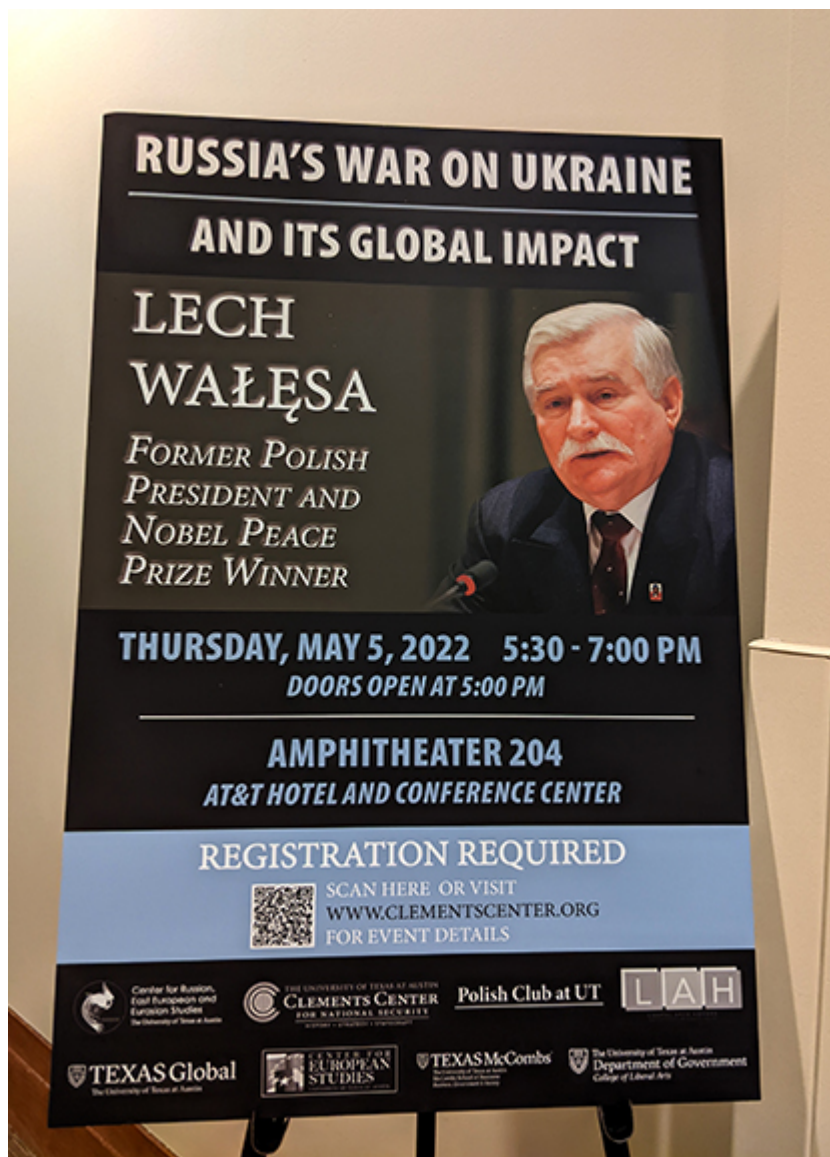


Prezydent Lech Wałęsa i wspaniały tłumacz Paweł Hardej podczas spotkania na Uniwersytecie w Austin



Prezydent Lech Wałęsa, tłumacz Paweł Hardej oraz prof. William Inboden (z prawej) podczas spotkania na Uniwersytecie w Austin. Po wystąpieniu prezydenta prowadzący spotkanie dyrektor Clements Center i wykładowca w LBJ School of Public Affairs, (były pracownik Białego Domu), prof. William Inboden, zadał pytania, wcześniej przygotowane przez studentów Polskiego Klubu. Były to głównie pytania o toczącą się obecnie wojnę na Ukrainie. Prezydent powiedział m.in., że proponował Włodziwisiowi Żelenskiemu stworzenie światowej grupy ekspertów, złożonej z noblistów, wybitnych profesorów i innych specjalistów, aby doradzali mu w każdej sprawie. Czy prezydent Ukrainy skorzysta, nie wiadomo.

Wieczór z Lechem Wałęsą nie byłby tym samym spotkaniem, gdyby nie błyskotliwe tłumaczenie symultaniczne Pawła Hardeja. Mimo, że prezydent często wyprzedzał tłumacza, kontynuując wątek wypowiedzi w swoim tempie, to tłumacz przekazał to co najistotniejsze. Genialnie oddał humor, co widać było po żywiołowej reakcji sali. Paweł Hardej, absolwent Uniwersytetu Detroit Mercy (MI) jest wiceprezesem dużej firmy deweloperskiej Lincoln Ventures Inc., budującej apartamentowce. Prywatnie Paweł Hardej jest ojcem studentki Uniwersytetu w Austin, Izabeli Hardej, która jest członkiem Klubu Polskiego.



W tym samym dniu, w którym miało miejsce spotkanie na Uniwersytecie, prezydent Lech Wałęsa został zaproszony przez gubernatora Teksasu, Grega Abbotta, do jego prywatnej rezydencji w Austin. Na koncie gubernatora Grega Abbotta na Twitterze pojawiło się zdjęcie z wizyty Lecha Wałęsy w jego domu z podpisem: *Świetne spotkanie z byłym prezydentem Polski Lechem Wałęsą w Rezydencji Gubernatora w Austin dzisiaj rano. Był pierwszym demokratycznie wybranym prezydentem Polski po rządach komunistycznych. Polaków i Teksasńczyków łączy wspólna cecha - dążenie do wolności.*

<https://twitter.com/GovAbbott/status/1522266041430286336/photo/1>

Na koniec pragnę jeszcze raz wyrazić uznanie dla Klubu Polskiego za tak prężną i z dużym rozmachem prowadzoną działalność na rzecz polskiej historii i to nie tylko na szczere uniwersyteckim, ale i na stanowym. Dzięki takim spotkaniom poszerza się wiedza o Polsce i jej dokonaniach. Wizyta prezydenta Lecha Wałęsy w Austin na pewno przejdzie do historii.

Fotografie: Joanna Sokołowska-Gwizdka i Jacek Gwizdka

*

Nagranie ze spotkania z prezydentem Lechem Wałęsą na Uniwersytecie w Austin:

<https://www.texaspolishclub.com/walesa>

*

Lech Wałęsa mówi o wojnie na Ukrainie do studentów, profesorów i innych organizatorów podczas spotkania w

restauracji Capital Grille w Austin:

Uczony jest zawsze
do pewnego stopnia
dziwakiem



prof. Walentyna Sobol

Z prof. dr hab. Walentyną Sobol - redaktor naczelną rocznika „Studia Polsko-Ukraińskie”, kierownikiem pracowni Dziejów polsko-ukraińskich stosunków literackich w Katedrze Ukrainistyki Uniwersytetu Warszawskiego (Wydział lingwistyki stosowanej) - rozmawia Aleksandra Ziółkowska-Boehm.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm: W 1998 roku przyjechała Pani do Polski, zaproszona na Kongres Sławistów w Krakowie. Jakie było pierwsze wrażenie - Pani Walentyno - w czasie tych odwiedzin?

Walentyna Sobol: W 1998 roku w Krakowie miał się odbyć XII

Międzynarodowy Kongres Sławistów. Zaproszenie do udziału było dla mnie wydarzeniem. Był to wstrząs, naprawdę, gdy po raz pierwszy w życiu zobaczyłam piękny Kraków, Uniwersytet Jagielloński, Wawel, kiedy poznałam osobiście badaczy, których książki czytałam, jak: Ola Hnatiuk, Stefan Kozak, Bazyli Nazaruk, Agnieszka Kornijenko i wielu innych. Chcę wymienić także prof. Hansa Rothe, który w 1976 w Giessen wydał dwa tomy *Die älteste ostslawische Kundtdichtung* – opracowania i teksty poetyckie dotyczące baroku ukraińskiego – baroku literackiego, na temat którego badania zaczęły się tuż przed uzyskaniem niepodległości Ukrainy.

W czasie pracy Kongresu zorganizowano wyjazd delegatów i uczestników do Wadowic, do muzeum Jana Pawła II; było to niesamowite przeżycie.

Wybór własnej historii oznacza – pisze Józef Tischner – że pewne wydarzenia odsuwamy na plan dalszy, inne stawiamy sobie w sposób szczególny przed oczy jako jakiś wzór . Taki wzór – wzór nauki na poziomie sławistycznym międzynarodowym – powstał przed moimi oczami w Krakowie na Kongresie Sławistów w roku 1998.

W Krakowie przedstawiła Pani twórczość Wasyla Stusia.

Tak, w Krakowie opowiadałam kolegom o wybitnym poecie –

Wasyłu Stusie (1938-1985) – absolwencie i dumie Uniwersytetu Narodowego Donieckiego, w którym wtedy pracowałam. Mówiłam, że to on, poeta, filozof i obrońca praw człowieka ze Wschodniej Ukrainy, był prawdziwym Europejczykiem, wielbicielem i tłumaczem Goetego, Rilkego. Filozofia egzystencjalizmu głosiła wielką wartość człowieka, tymczasem Wasył Stus przez 23 lata był więziony i zginął w łagrach. Wielkim dla mnie prezentem okazał się wydany właśnie w Krakowie w 1996 r. tomik w języku polskim *Poezja Wasyla Stusa. Wstęp, wybór i tłumaczenie artykułów Agnieszka Kornijenko*. Semem Głuzman, także więzień sowieckich łagrów, będąc 20 dni w jednej celi ze Stusem, zapamiętał jego wiersze i ocalił je od zniszczenia przez strażników.

Mimo że Ojczyzna jest dla nas darem, jej los od nas zależy. Sprawa Ojczyzny ciąży u naszego sumienia – ta zasada była zrozumiała przez Stusa i Głuzmana, inni potrzebowali dojrzeć do jej uświadomienia.

Na kołymskim mrozie kalina

kwitnie rudym bukietem łez.

dzień swój bezmiar słoneczny rozpina,

Sobór wdzięczny – swą twarz Ukraina?

na więziennych murach nakreśla.

*

O, Boże, skąd aż tyle mej rozpaczy

i samotności, która nie zna granic.

Nie mam ojczyzny. Oko bada granie,

wśród przepaści pragnę drogę wypatrzeć.

Oto – mój znak powrotu. Albo – nie.

Oto mój szlak. Na koniec świata płynąć.

Przebacz, kochana moja Przykraino,

I, matko, nie przeklinaj mnie.

Poszedłem precz. Na oślep. Gnany szalem

Poszedłem precz, z wściekłości już zmęczony.

Różowe szczyty, w lodach uwięzione,

a ponad nimi – stado wron czerniało.

I ślepie wieczór. Linia gór – i

niby z kartonu wykrojone ich kontury,

i cała twoja droga – w dół lub w górę.

Temtędy iść. Iść tedy. Iść

Cytuję wiersz z tomu Stusa *Palimpsesty* w tłumaczeniu z ukraińskiego na polski profesora Bazylego Nazaruka, z którym później współpracowaliśmy w Katedrze Ukrainistyki UW. Razem z wybitnym badaczem Stefanem Kozakiem, założycielem i redaktorem naczelnym rocznika „Warszawskie Zeszyty Ukrainoznawcze”, współredagowaliśmy znane w naukowym świecie tomy. W latach 1990-2009, kiedy profesor był kierownikiem Katedry Ukrainistyki, ukazało się 26 tomów.

Vasyl Stus - jak Pani przypomina- zapłacił straszną cenę za swoją niezależną twórczość.

Poeta został zamordowany 4 września 1985 w łagrach, jest

jednym z licznych ukraińskich pisarzy, którzy przez niemal siedemdziesiąt lat byli zamykani w więzieniach, niszczeni i rozstrzeliwani. 9 lutego 2017 Rada miasta zdecydowała o nadaniu imienia Wasyla Stusa skwerowi w centrum Warszawy. To takie miłe mojemu sercu, mijam zawsze skwer Stusa po drodze do ukochanej Biblioteki Narodowej. Ucząc studentów na Uniwersytecie Donieckim przez 17 lat, miałam prawdziwy zaszczyt pracować wspólnie w jednej katedrze z prof. Fenią Dmytriwną Pustową, która знаła Stusa jako studenta. Została na zawsze w mojej pamięci jako symbol sumienia wydziału filologicznego i naszej Katedry Literatury Ukraińskiej i Folklorystyki Narodowego Uniwersytetu Donieckiego. Obecnie ten Uniwersytet nosi imię Wasyla Stusa, ale znajduje się w związku z wojną na Wschodzie Ukrainy – w Winnicy.

Jeszcze jednym przeżyciem powiązanym z Kongresem Słowistów w Krakowie było otrzymanie pocztą – już w Doniecku – cennej przesyłki: prof. Hans Rothe podarował wydane w Niemczech dwa tomy dawnej poezji ukraińskiej *Die älteste ostslawische Kundtdichtung*; to prawdziwy skarb naukowy dla badacza historii literatury i kultury od X-XVIII wieku.

Od wielu lat jest Pani związana z Uniwersytetem Warszawskim, jest Pani profesorem zwyczajnym katedry ukrainistyki.

Po raz pierwszy przyjechałam z wykładami na Uniwersytet Warszawski w 2000 roku na zaproszenie kierownika Katedry Ukrainistyki prof. Stefana Kozaka, wybitnego badacza. Wtedy zaczął się okres warszawski.

Warszawa otworzyła dla mnie nowy poznawczy poziom, dała dużo kontaktów z bardzo ciekawymi ludźmi. Od tego czasu z wieloma jestem zaprzyjaźniona, na przykład z profesorem Teresą Chynczewską-Hennel. Ona jest – moim zdaniem – jedną z tych wielkich kobiet, dzięki którym, na przykład, nastąpił „złoty wiek konwersacji” (jak pisała o pierwszych dziesięcioleciach XVII w. we Francji Benedetta Craveri).

„Złoty czas konwersacji” nastąpił i dla mnie również dzięki przyjaźni – zarówno ze wspomnianą już Teresą Chynczewską-Hennel, jak i jej mężem – prof. Andrzejem Hennelem, Alicją Wołodźko-Butkiewicz, Dorotą Urbanek, Anną Nasiłowską, Ludmiłą Łucewicz, Danutą Sosnowską, Żanetą Nalewajk-Turecką, Bogumiłą Berdychowską, Piotrem Borkiem, Katarzyną Błachowską, Mariuszem Ławskim, Anną Janicką, Mirosławem Nagielskim, Agnieszką Matusiak, Mariuszem Drozdowskim, Piotrem Krollem, Katarzyną Jakubowską-Krawczyk, Dawidem Bzorkiem, Anną Kizińską, Anną Antoniuk, Ludmiłą Siryk, Haliną Korbicz, Małgorzatą Karoliną Piekarską, Urszulą Olbromską, jej mężem Mariuszem, czy prof. Grzegorzem Nowikiem.

Przyszedeł cudowny, chociaŹ i niełatwy (zawsze miałam i mam duŹo pracy) owocny czas udziału w konferencjach naukowych, kongresach slawistów w Ochredzie (2008), Mińsku (2013) i serbskim Belgradzie (2018), ale takŹe wspólnych – z Teresą Chynczewską-Hennel – wycieczek do Rzymu, Padwy, Wenecji.

Od roku 2013 współpracujemy z Teresą Chynczewską-Hennel, Mariuszem Drozdowskim, Dawidem Bzorkiem równieŹ w Pracowni Polsko-Ukraińskich stosunków literackich na Uniwersytecie Warszawskim. W tej Pracowni ukazało się juŹ siedem tomów rocznika naukowego „Studia Polsko-Ukraińskie”, którego od roku 2014 jestem redaktorem naczelnym. Pismo teraz jest na „liście ministerialnej”.



Od lewej: Danuta Sosnowska, Andrzej Hennel, Dawid Bzorek, Walentyna Sobol, Teresa Chynczewska-Hennel, Bazyli Nazaruk
Warszawski okres zatem pięknie się rozwinął.
Opublikowała Pani wiele prac...

W Warszawie miałam możliwość pogłębienia znajomości języka łacińskiego, o czym zawsze marzyłam. Instytut Filologii Klasycznej na Uniwersytecie Warszawskim oferuje zajęcia nie tylko z łaciny, ale i greki! Jestem pod dużym wrażeniem podręcznika *Porta Latina Nova* autorstwa Stanisława Wilczyńskiego, Ewy Pobiedzińskiej, Anny Jaworskiej oraz tekstów

w *Gramatyce greckiej* dwóch 'wybitnych Marianów – Mariana Auerbacha i Mariana Goliasa. Nigdy wcześniej nie przypuszczałam, jaką przyjemnością może się stać nauczanie nawet tylko alfabetu greckiego z 24 nieśmiertelnych liter... Podobno język łaciński, który był jednym z najważniejszych w Akademii Kijowsko-Mohylanskiej od XVI-XVIII w., ma powrócić do szkoły wyższej na Ukrainie, nie tylko o profilu medycznym. Mamy podręczniki, na przykład *Latynska mowa* (Латинська мова, 2002) autorstwa Natalii Jakowenko i Walentyny Myronowej, a także *Latynsko-ukrainskyj słownyk* (Латинсько-український словник, 2001) autorstwa Myrosława Trofymuka i Oleksandry Trofymuk. Chcę także wymienić pracę nowatorską (w roku 1966, kiedy takie tematy na Ukrainie były zakazane) – wydaną w Krakowie, prof. Ryszarda Łuźnego: *Pisarze kręgu Akademii Kijowsko-Mohylańskiej a literatura polska; z dziejów związków kulturalnych polsko-wschodnio-słowiańskich w XVII-XVIII w.*”

Nauka i poziom wiedzy przydała mi się, kiedy w 2012 r. pracowałam w Archiwum spraw zagranicznych w Paryżu.

W Warszawie spełniło się moje „szczęście naukowe”, kiedy w jednym z moich ulubionych czasopism „Teksty drugie” (2019, nr 5), ukazał się artykuł „Emigrant jako podróżnik. Świadectwa Sofii Jabłońskiej o Ołeksandrze Koszycu”. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne (WSiP) w latach 2005-2008 wydrukowały cztery

podręczniki mojego autorstwa. Wydawnictwo „Tyrsa” w 2004 r. opublikowało moją pracę monograficzną *Pamjatna knyha Dmytra Tuptała* („Пам’ятна книга Дмитра Туптала”), razem z tekstem dziennika, który udało się odnaleźć wcześniej w bibliotece Moskwy.

Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego (WUW) w roku 2015 i 2018 – wydały dwie moje książki: *Ukrainske baroko. Teksty i konteksty* (Українське бароко. Тексти і контексти, 2015) i *Ołeksandr Koszyc i jego dziennik „Z pieśnią przez świat”, 2018).* Kolejna przygotowywana książka, o Filipie Orliku, też się ukaze w Wydawnictwach Uniwersytetu Warszawskiego.

Aż się prosi, by zacytować jednego z największych w historii nauki polskiej uczonego-fizyka Marcina Smoluchowskiego: – *Uczony jest zawsze do pewnego stopnia dziwakiem, wpatrzonym w swoją naukę, ignorującym względy życia codziennego...*

Wiem, że ma Pani dwoje dzieci i kilkoro wnuków...

Mam – w Dnieprze – jedenaścioro wnuków! Córka i jej mąż, ratując sieroty, adoptowali już dziewięścioro: 7 dziewczynek i 2 chłopców. Pilnują i uczą ich w założonym przez siebie rodzinnym domu dziecka. Początkowo było mi przykro, że są doktorami prawa, docentami, ale cały swój czas i serce poświęcają dla dzieci. Upłynął czas, teraz to oni są dla mnie

wzorem. Ich decyzja adopcji, kiedy pierwsze dziecko z sierocińca pojawiło się u nich w 2015 roku, była dla mnie dużym zaskoczeniem. Pracowałam wtedy w archiwum Ołeksandra i Tetiany Koszyców w Winnipeg, raptem otrzymuję od córki zdjęcie małej chorej dziewczynki, zabranej przez córkę z sierocińca... Siostry zakonne Betanki, u których mieszkałam w czasie wyjazdu naukowego do Kanady, modliły się nie tylko za tę osierocone słabiutkie dziecko, ale... i za mnie, żebym doceniła decyzję córki i była dumna z mojego dziecka. Wtedy nie mogłam sobie wyobrazić, że to tylko początek kolejnych działań moich dzieci.

Działanie Pani córki jest niezwykle, budzi podziw i respekt w każdym z nas.

Powiem szczerze (ludzie ze Wschodniej Ukrainy są otwarci). To był dla mnie najpierw wstrząs... Byłam dumna z naukowych sukcesów córki Oksany i Jej męża Serhija, doktorów prawa karnego w Dnieprze. A turaptem... rodzinny dom dziecka; praca niesamowicie trudna, wymagająca całkowitego poświęcenia...

Najnowsza nowina z Dniepru, że trójka starszych dzieci, Aleksander, Waleria i Maria zaczynają się uczyć grze na gitarze.

Kiedy w sierpniu 2020 roku córka z rodziną adoptowała kolejne malutkie 6-miesięczne dziecko, jeszcze jedną Irenkę, wyznałam

sobie ze wstydem, że to jest właśnie dla mnie ważna lekcja od życia. Jak powiedział Seneca: *longum iter est per praecepta, breve et efficax per exempla*. (Długa droga przez pouczanie, a krótka przez wzór). Otóż, ja nauczyciel akademicki, który przepracował już ponad 40 lat ze studentami, czuję się teraz uczennicą mojej własnej córki... Jak nie podziękować Martialisowi, który zostawił dla nas taką sentencję: *Semper homo bonus tiro est*. (Dobry człowiek jest zawsze początkującym). Po tym, co przeżyłam teraz, muszę ponownie i bardziej wnikliwie przeczytać książkę: Jean M. Twenge, *iGen. Dlaczego dzieciaki dorastające „w sieci” są mniej zbuntowane, bardziej tolerancyjne, mniej szczęśliwe – i zupełnie nieprzygotowane do dorosłości. I co to oznacza dla nas wszystkich*. Pragnę zrozumieć głębiej nie tylko moich najmłodszych studentów i doktorantów, a także to, co się dzieje z nami wszystkimi, ze światem, któremu brakuje dobroci i miłosierdzia.

Które książki wpłynęły na Pani percepcję kultury polskiej, proszę je przywołać.

To były książki cudowne dla mnie – z innym niż dotychczas duchem, z inną treścią, sensem i recepcją.

Pozytywnym szokiem dla mnie, badaczki historii literatury ukraińskiej ze Wschodniej Ukrainy, z Uniwersytetu w Doniecku,

była lektura książki Ewy Thompson. W roku 2000 o tej książce jeszcze chyba nie było szeroko wiadomo w innych słowiańskich krajach. Przekład Marii Korczyńskiej na język ukraiński ukazał się w wydawnictwie Sołomii Pawłyczko „Osnovy” w Kijowie w 2006 roku. Ta monograficzna praca Ewy Thompson *Trubadurzy imperium. Literatura rosyjska i kolonializm*, wydana była po polsku już w roku 2000 w Krakowie. Od tej pracy – dla mnie odkrywczej – ciężko było oderwać wzrok i wyciszyć emocje.

Następna – jakże pasjonująca – to książka *Literatura europejska i łacińskie średniowiecze* Ernsta Roberta Curtiusa. Było mi przykro i wstyd, że wydana po raz pierwszy w 1954 r., trafiła do moich rąk w 2000 roku. I w tej oto książce Curtius cytuje metaforę św. Augustyna o duszy – dusza miota się na wszystkie strony, „na plecy, na boki i na brzuch” (s.146). Przeczytałam prawdę o stanie mojej duszy w nie zawsze przyjaznym dla przedstawicielki kultury ukraińskiej Doniecku.

Kolejno duże wrażenie wywarły na mnie także książki: Anne Applebaum *Czerwony głód, Gułag, Za żelazną kurtyną* i Richarda Pipsa *Rosja bolszewików*.

Moje archiwalne badania w Kanadzie, Warszawie, Krakowie przyniosły mi wiele wrażeń, wiele informacji, czasem bardzo bolesnych. Na przykład, kiedy przeczytałam, że „tożsamość narodowa Ukraińców została poważnie wzmocniona przez

pamięć wyreżyserowanego przez Sowietów głodu w latach 1932-33, kiedy to około dziesięciu milionów Ukraińców straciło życie” .

Wtedy, w 2000 roku, przeraziłam się, że aż dziesięć milionów! O trzech głodach w Ukrainie w XX wieku (pierwszy w roku 1921, drugi - w 1933, trzeci - w 1947) - opowiadano szeptem. Informacje były wyciszane, było dużo niedomówień, zakazów i kłamstw.

Piętnaście lat później, w 2015 r. w Canadian Museum for Human Rights, zaskoczył mnie film o głodzie w Ukrainie - pokazywany jest w językach angielskim, francuskim i ukraińskim pt. *Terytoria Holodomoru: pamięć niewymarła* (Територія Голодомору: пам'ять невмируща).

Zaprzyjaźniłam się z Oksaną Rozumną, wdową po profesorze Jarosławie Rozumnym (w latach 1970-80. kierownikiem wydziału ukrainistyki na Uniwersytecie w Winnipeg). To małżeństwo Rozumnych zrobiło bardzo dużo dla historii Ukrainy. Od nich dowiedziałam się, że ofiar było prawdopodobnie 12 milionów. W 1984 w Winnipegu powstał pierwszy pomnik poświęcony pamięci ofiar.

Rosja wciąż kwestionuje tę tragedię.

Jak wiadomo, do dnia dzisiejszego Rosja nie zgadza się z taką liczbą. Już w roku 2015 w Winnipeg prof. Mirosław Szkandrij zaprosił mnie do Canadian Museum for Human Rights, gdzie dowiedziałam się o blisko 12 milionach ofiar Czerwonego Głodu na Ukrainie w latach 1932-1933. Jesienią 2019 r. wspólnie ze studentami obejrzelśmy genialny film Agnieszki Holland *Obywatel Jones*. Książka Gareth Jones. *Człowiek, który wiedział za dużo* Mirosława Wlekłego, wydana w krakowskim wydawnictwie „Znak” w 2019 r., dopełniła ten film, dużo dała do zrozumienia – że prawda, niestety czasem z wielkim opóźnieniem, ale zawsze zwycięży.

Na szacunek i wdzięczność zasługuje wielki czyn Garetha Jonsa (1905-1935), absolwenta Uniwersytetu w Cambridge, który w sierpniu 1930 roku podczas pierwszej podróży do Związku Radzieckiego – pociągami przez Berlin i Warszawę – odwiedził nie tylko Moskwę, Rostow nad Donem, ale miasto Donieck, które wtedy nazywało się Juzowka! Ten młody dziennikarz miał odwagę po raz drugi, i po raz trzeci, odwiedzić Ukrainę. Na konferencji prasowej w Berlinie, Gareth Jones ujawnił ofiary i skalę wielkiego głodu na Ukrainie. I to wtedy, kiedy tym doniesieniom zaprzeczał w „New York Times” „bohater kłamstwa” Walter Duranty.

Jestem przekonana, że Ukraina zawsze będzie wdzięczna za czyn godny podziwu Garetha Jonsa zamordowanego 12 sierpnia

1935 za to, że wiedział „za dużo”, że miał odwagę powiedzieć światu o wielkim głodzie. Tablica pamiątkowa, zafundowana 2 maja 2006 roku na budynku uniwersyteckim w Aberystwyth w Walii, gdzie Gareth Jones studiował w latach 1922-1923, przemawia do ludzi w kilku językach, również ukraińskim. Przytoczę w języku angielskim:

In memory of Gareth Richard Vaughan Jones, born 1905, who graduated from the University of Wales, Aberystwyth and the University of Cambridge. One of the first journalists to report on the Holodomor, the Great Famine of 1932-1933 in Soviet Ukraine

Jak polskie opracowania pokazują tę tragedię?

Nie tylko teraz, ale i w najtrudniejszych latach reżymu totalitarnego w Ukrainie Radzieckiej, Polska pomagała przetrwać kulturze sąsiadów, w tym ukraińskiej. To właśnie w Polsce 7 marca 1930 roku powstał Ukraiński Naukowy Instytut, który aktywnie działał w Warszawie w międzywojennym dwudziestoleciu. Działał aż do wybuchu drugiej wojny światowej, do 1939 r.



Hetman kozacki Filip Orlik, fot. wikimedia commons

W wydawniczej serii filologicznej ukazały się dzienne ukraińskie tłumaczenie kroniki Marcina Bielskiego (tom XXIX), jedna z najlepszych prac monograficznych o „ukraińskim Sokratesie” filozofie Hryhoriju Skoworodzie (1722-1794) Dmytra Czeżewskiego *Filozofia H. S. Skoworody*, 16 tomów Tarasa Szewczenki i innych. Zdaniem badaczy, wydawniczy dorobek Ukraińskiego Naukowego Instytutu w Warszawie w latach 1930-1939 jest niemal najpoważniejszym pośród wydanych na emigracji prac. To właśnie w Ukraińskim Instytucie Naukowym w Warszawie w 1936 r. w serii historycznej Jan z Tokar Tokarzewski Karaszewicz przygotował do druku pierwszą część dziennika : *Diariusz Filipa Orlika z lat 1720-1723*. Rok później, w 1937, ukazała się praca monograficzna Borysa

Krupnyckiego *Hetman Filip Orlik (1672-1742). Zarys działalności politycznej* (tom XLII). Zaznajomienie z tym zabytkiem-dziennikiem, z pracami o pierwszym ukraińskim emigrancie – hetmanie Filipie Orliku, o którym dziewiętnastowieczny badacz Franciszek Rawita Gawroński pisał jako o „najwykształceńszym, jakiego kiedykolwiek Ukraina posiadała” .

To wszystko głęboko zainspirowało mnie do odnalezienia oryginału rękopisu diariusza w całości.

W Bibliotece Narodowej w Warszawie najpierw udało się opracować mikrofilm kopii dziennika, ale niestety kopia diariusza zrobiona była w pośpiechu i bardzo skrócona. Ma błędy – na przykład „grochu boskiego”, zamiast „Grobu Boskiego”... Jednak zespół trzech anonimowych polskich paleografów, którzy w roku 1830 zrobili kopię rękopisu – i to oni, nieznani dziewiętnastowieczni zakonnicy, nauczyli mnie rozumieć i rozszyfrowywać pismo ręczne, trzy różne style tego pisma. Chociaż później pracując z oryginałem tekstu diariusza i porównując ze wspomnianą kopią, zauważyłam dużo błędów; jednak zrozumieć rękopis Orlika pomogli mi właśnie ci nieznani paleografowie.

Na ten temat piszę w jednym z moich – mam ich ponad 20 – artykułów poświęconych Orlikowi. Napisałam np. artykuł, w którym porównałam z rękopisem tekst (faksymile wydane w

Harwardzie) diariusza Orlika z kopią anonimowych polskich paleografów odnalezioną w Bibliotece Narodowej. Artykuł został wydrukowany w 2009 r. w donieckim czasopiśmie *East*. Ten „analytic and informative journal” pod redakcją Włodzimierza Bileckiego – wybitnego uczonego w dziedzinie nauk technicznych jest wydawany od roku 1995 do dnia dzisiejszego. Jego poświęcenie i pracę w warunkach wojny na Wschodzie Ukrainy uważam za cud.

Dotrzeć w roku 2012 do oryginału dziennika znajdującego się w Paryżu w archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych Francji, pomogła mi pisarka Natalia Zamułko-Duboushet, autorka szczerych autobiograficznych książek w języku rosyjskim *Obca nacja* (Чужая нация) *Granica deszczu* (Граница дождя) i licznych wierszy w języku ukraińskim. Mieszkająca od ponad 45 lat we Francji Natalia Zamułko-Duboushet opowiadała o szkoleniach dla pisarzy na Sorbonie – dla autorów tworzących w języku rosyjskim. Niestety, nie ma czegoś takiego dla piszących w języku ukraińskim.

Magiczny Paryż jest zdolny zaczarować każdego.

Proszę przybliżyć – kim był Filip Orlik?

Los Orlika (1672-1742) można porównać, jak się wydaje, do przywódcy rewolucji węgierskiej, węgierskiego bohatera

narodowego, jakim był Lajos Kossuth (1802-1894). Węgierski szlachcic, gubernator Węgier, prawnik, przewodniczący komitetu Obrony Ojczyzny, zmarł w emigracji. Jak i hetman Orlik.

Zaryzykuję porównanie z Tadeuszem Kościuszką (1746-1817), bohaterem Polski, Stanów Zjednoczonych Ameryki i Białorusi, który dostał się do niewoli, został uwięziony w Petersburgu w Pietropawłowskiej twierdzy, zmarł na emigracji, nie udało mu się - jak i Orlikowi - zobaczyć wolnej ojczyzny. Jednak obaj o tym marzyli.... Przeraziło mnie to, że będąc świetnym pianistą Kościuszko skomponował walc i dwa polonezy dedykowane armii polskiej. A kiedy on to zrobił? Podczas niewoli rosyjskiej. Na Ukrainie są teraz ulice i Orlika i Kościuszki. A Filip Orlik zaraz po odzyskaniu niepodległości przez Ukrainę stał się bohaterem narodowym Ukrainy i Białorusi. Natomiast bohaterem Francji jest jego starszy syn - feldmarszałek Ludwika XV Grzegorz Orlik (1702-1759). Zginął za wolność Francji jako francuski dowódca wojskowy. (Właśnie kupiłam książkę Iryny Dmytryszyn *Hryhorij Orłyk abo Kozacka nacija u francuzkij dyplomatii* (Ірина Дмитришин, Григорій Орлик або Козацька нація у французькій дипломатії)[11].

Kolejnym zdumieniem, już w czasie pracy w Katedrze Ukrainistyki UW w Warszawie, była możliwość opowiadania studentom pierwszego roku o najdawniejszych latopisach Rusi

Kijowskiej, trzymając w ręku i udostępniając nie tylko wydane na Ukrainie teksty i opracowania . Także ważne jest wydanie w języku polskim staroruskiego latopisu: „Powieść minionych lat”. tłumaczonego przez wybitnego profesora Franciszka Sielickiego, a także jego opracowania na temat kulturalnych stosunków polsko-ukraińskich w czasach najdawniejszych. Przecież to ponad 1000 lat sąsiedztwa Polski i Ukrainy!

Dodam, że w 1990 roku pod redakcją Stanisława Stępnia ukazał się pierwszy tom serii pod tytułem: *Polska-Ukraina. 1000 lat sąsiedztwa. Studia z dziejów chrześcijaństwa na pograniczu etnicznym* – [13].

Gdyby częściej o tym pisać i rozmawiać, to może skuteczniejsze byłyby głosy, w tym ukraińskie, w chórze, o którym mówi Pani, Pani Aleksandro, w ciekawym wywiadzie Beaty Bednarz *Pisanie jest moją pasją* w związku z otrzymaniem tytułu – gratuluję serdecznie! – Wybitny Polak w USA:

Myślę, że ciekawa byłaby książka, aby wybrane grupy narodowościowe w Stanach Zjednoczonych napisały o swoich przeżyciach, jak się czuły będąc upokarzane i wyśmiewane. Powstałby jeden wielki chór. Polacy w moim pojęciu – nie mają się źle. Oczywiście to zależy od środowisk, ale interesują mnie Amerykanie otwarci na świat, na inne

Zgadzam się, marzę o tym, żeby było więcej otwartości na inność sąsiedniej kultury, literatury i ze strony polskiej, i ze strony ukraińskiej.



Fot. Alexas_Fotos from Pixabay



[1] Józef Tischner. *O człowieku. Wybór pism filozoficznych*, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wrocław 2013, s. 636.

[2] Ibidem, s. 634.

[3] *Poezja Wasyla Stusa. Wstęp, wybór i tłumaczenie artykułów Agnieszka Kornijenko*, TAIWPN Universiras, Kraków 1996, s. 66-67.

[4] Benedetta Craveri, *Złoty wiek konwersacji*. Przełożyli Joanna Ugniewska i Krzysztof Żaboklicki, Oficyna naukowa, Warszawa 2009, s. 639.

[5] Jean M. Twenge. *iGen. Dlaczego dzieciaki dorastające w sieci są mniej zbuntowane, bardziej tolerancyjne, mniej szczęśliwe – i zupełnie nieprzygotowane do dorosłości. I co to oznacza dla nas wszystkich*. For the Polish translation by Olga Dziedzic. Smak Słowa sp. z o.o., Sopot 2019, 376 ss.

[6] Ewa M. Thompson, *Trubadurzy imperium. Literatura rosyjska i kolonializm*, Universitas, Kraków 2000, s.16.

[7] Mirosław Wlekły, *Gareth Jones, człowiek, który wiedział za dużo*, Wydawnictwo „Znak”, Kraków 2019, s. 302.

[8] *Diariusz hetmana P. Orlika*. Przygotował do druku Jan z Tokar Tokarzewski Karaszewicz, Prace Ukraińskiego Instytutu naukowego, Warszawa 1936, 200 ss.

[9] Franciszek Rawita Gawroński, *Filip Orlik jako hetman kozacki*, Biblioteka Warszawska. Pismo miesięczne, poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym, wrzesień 1899, Warszawa 1899.

[10] W. Sobol, *Помножені часом світи (факсиміле діаріуша Пилипа Орлика за 1724 рік і копія анонімних польських палеографів: порівняльний аналіз)*, (в:) *Схід/ East*, 2009, nr 8 (99), s.3-11.

[11] Ірина Дмитришин, *Григорій Орлик або Козацька нація у французькій дипломатії*. Видавництво «Темпора», Київ 2019, 496 str.

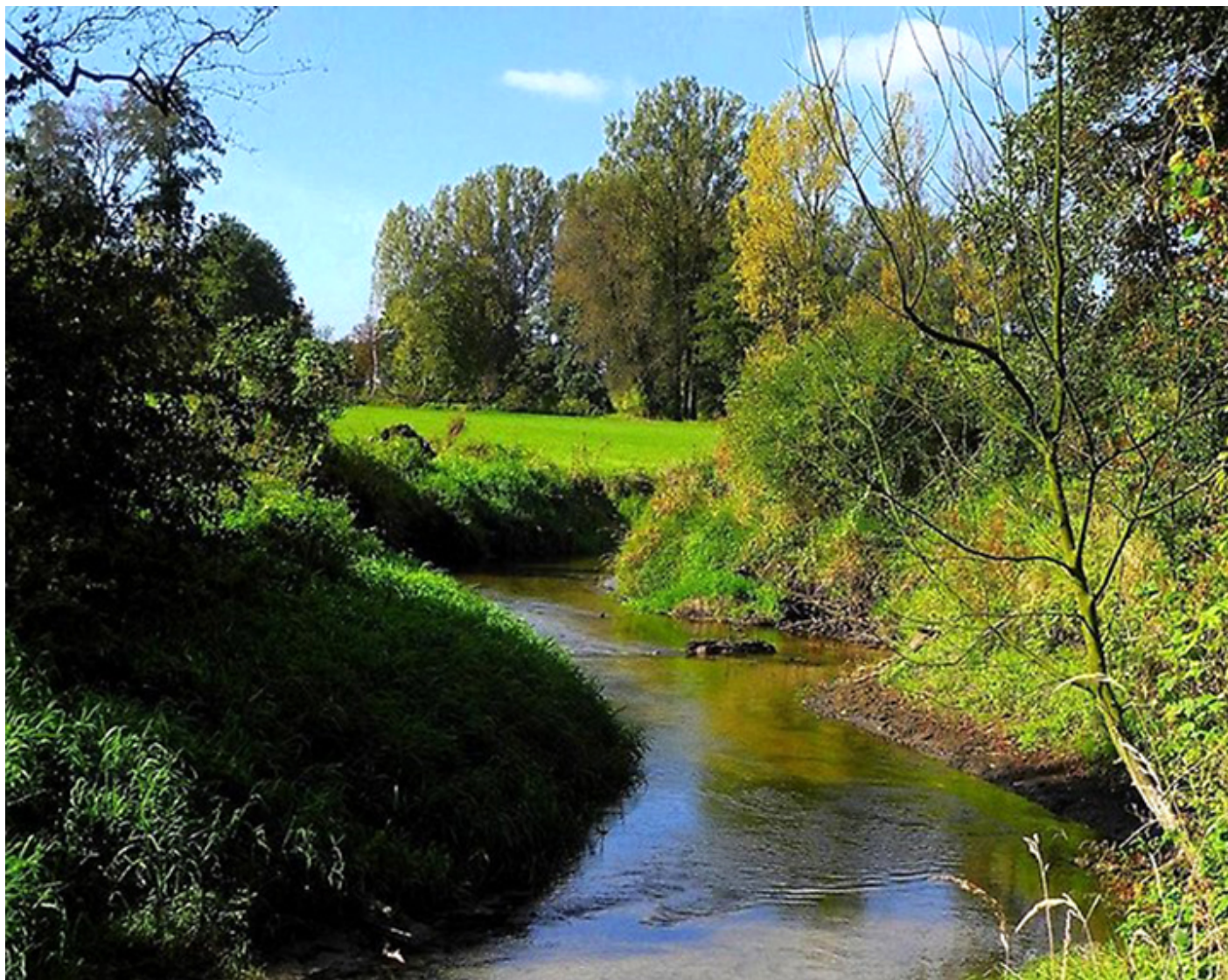
[12] Na przykład, praca nad *Powieścią Minionych lat* Leonida Machnowca trwała niemal 47 lat, wydanie opracowanego przez niego latopisu stało się wydarzeniem w Ukrainie w roku 1989, kiedy jeszcze trwały zakazy reżimu totalitarnego: *Літопис Руський. За Іпатським списком переклав Леонід Махновець*, Видавництво «Дніпро», Київ 1989, XVI+ 591 s. W tym ogromnym tomie odnajdziemy i *Powieść minionych lat* (s.1-178), i *latopis Kijowski* (s.178-367), i *Halicko-Wołyński latopis* (368-452), i nawet utwory Włodzimierza Monomacha (454- 464). Profesor Uniwersytetu w Kijowie Wasyl Jaremenko przeczytał tekst *Powieści minionych lat* jako rytmiczny, a dla dzieci adaptował ten cudowny latopis pisarz Wiktor Błyżneć.

[13] *Polska-Ukraina. 1000 lat sąsiedztwa. Studia z dziejów chrześcijaństwa na pograniczu etnicznym*, Pod redakcją Stanisława Stępnia, Przemyśl 1990, 286 ss.

[14] <https://www.granice.pl/publicystyka/aleksandra-ziolkowska-boehm-wywiad/1484/1>

Rozmowa ukazała się [w:] „Odra”, marzec 2021 r.

Trzy młyny nad rzeką Łupią



Arkadia nad rzeką Łupią

Zygmunt Wojski (*Wrocław*)

Najbliżej naszego domu na ulicy Łowickiej 105 w Skierniewicach znajdował się młyn pana Tadeusza Cieplińskiego. Schodziło się z górki od ulicy Łowickiej i zaraz po przeciwnej stronie rzeki Łupi stał i nadal stoi okazały budynek z czerwonej cegły, To właśnie ten młyn, do którego droga wiodła przez drewniany most. Pod mostem upust, a od strony miasta spiętrzona, dość głęboka woda, ulubione kąpielisko w upalne dni. Kilkakrotnie na sankach

woziłem do tego młyna worki ze zbożem do zmielenia na śrutę i mąkę. Gdy spadł śnieg, zjeżdżaliśmy z dwóch dość spadzistych górerek na sankach.

Państwo Cieplińscy z trojgiem dzieci mieszkali w pomalowanym na niebiesko drewnianym domu stojącym na górze, powyżej młyna. Cezary, zwany Czarkiem, był rok starszy ode mnie i chodziliśmy do jednej klasy w liceum. Dość często spotykaliśmy się w drodze do szkoły i wracaliśmy razem. Kilka razy towarzyszył mi, gdy wypędzałem krowy na pastwisko na skraju Puszczy Bolimowskiej, a raz obaj na próżno szukaliśmy po lesie owoców jarzębiny dla pani prof. Drozdowej, naszej wspaniałej polonistki w liceum. Zachwyciła mnie jego pasja do mieszkania latem w namiocie pośrodku wykoszonego owsa, tuż koło młyna. Odwiedziłem tam kiedyś Czarka, który rozpalił ognisko przed namiotem. W pewnym momencie z owsa wyszedł w naszym kierunku zając. Natychmiast zawrócił, a Czarek zanurzył w owsie rękę i złapał go za uszy. Matka Czarka, pani Janina Cieplińska, przynosiła mu do namiotu jedzenie i pewno przyrządziła mu także tego zająca na następny dzień.



Młyn Tadeusza Cieplińskiego w Skierniewicach przy ul. Ławki Danusia, siostra Czarka, była od niego dwa lata młodsza. W liceum chodziła do jednej klasy z moją siostrą. Ambicją pani Cieplińskiej było zapewnić dziewczętom (Alina była kilka lat młodsza od Danusi) naukę gry na pianinie. Ja kupowałem regularnie w czasie nauki w liceum „Mozaikę Francuską”, znakomicie redagowane pismo do nauki języka francuskiego. Najbardziej interesowały mnie zamieszczane tam piosenki wraz z nutami. Któregoś razu pojawiła się w „Mozaice” nieznana mi wówczas piosenka „La mer” (Morze), z repertuaru Charlesa Treneta. Pobiegnę do Danusi z wielką prośbą, aby zagrała mi ją na pianinie. I proszę sobie wyobrazić, że dzięki Danusi nauczyłem się wybornie tej piosenki! Nagranie z 1968 roku:

Pan Tadeusz Ciepliński został właścicielem młyna najprawdopodobniej dopiero po II Wojnie Światowej. Przedtem był to młyn pana Mońki. Gdy byłem pierwszy raz w Argentynie w roku 1973, odwiedziłem mojego wuja, Stanisława Łazęckiego, rodzonego brata matki. Opowiadałem mu o tym młynie podając nazwisko pana Cieplińskiego jako właściciela. Na co wujek: – *Jak to? Przecież to Mońko jest właścicielem!* Niestety, na temat pana Mońki nic nie potrafiłem mu powiedzieć.

Między domami nr 73 i 75 przy ulicy Łowickiej stoi murowana kapliczka. Dawniej z lewej strony tej kapliczki odchodziła od ulicy tak zwana „Górna Droga”, która wijąc się wśród pól wiodła do wszystkich trzech młynów: Cieplińskiego, Frączkowskiego (to już na Mokrej Prawej) i Godosa na Sierakowicach. Najpiękniejsza z dróg mojego dzieciństwa. Opisałem ją dokładnie w moich wspomnieniach opublikowanych w „Głosie Skierniewic i Okolicy” w latach 1998-1999. Biegła mniej więcej równolegle do nurtu rzeki Łupi wspinając się na niewysokie wzgórza wśród pól. Z obu jej stron, zarówno w zbożu, jak i na brzegach drogi, rosły całe łany barwnych, kolorowych kwiatów.



Dwór w Trzciannie

W pewnym momencie nagły skręt w lewo obok starego pnia, na którym mała kapliczka i dość łagodne zejście do rzeki. Jesteśmy teraz we wsi Mokra. Po lewej piękny dworek mieszkalny i duży ogród kwiatowy, a dalej, po prawej, tuż przed drewnianym wówczas mostem, drewniany młyn pana Frączkowskiego. Na placu przed młynem zawsze stało kilka furmanek z workami zboża lub mąki. W odróżnieniu od młyna Cieplińskiego tu zawsze panował ruch. Po lewej stronie mostu głęboki spiętrzony „staw”. Pod mostem stawidła i upust. Budynek młyna od dawna nie istnieje.



Młyn Godosa w Sierakowicach Lewych



Młyn Godosa w Sierakowicach Lewych

Wiem, że państwo Frączkowscy mieli kilku synów, z których najmłodszy, w moim wieku, miał na imię Tonio. „Górna Droga” prowadzi dalej przez pola aż do młyna Godosa w Sierakowicach Lewych, którego historię pani Małgosia Lipska-Szpunar z Centrum Kultury i Sztuki w Skierniewicach tak doskonale i szczegółowo opisała, że nic dodać nic ująć. Gdy chodzi o mnie, do młyna Godosa wypuszczałem się głównie na rowerze, a raz nawet na nartach, a to ze względu na znaczną odległość od mojego domu. Myślę, że to przynajmniej 5 km. Jak na wędrowkę pieszą trochę za daleko. Teraz, gdy opisuję te trzy młyny, przychodzi mi do głowy, że do „Górnej Drogi” najlepiej pasowałaby nazwa „Droga Trzech Młynów”.



Willa Kozłowskich w Skierniewicach

Zróżła fotografii:

- Centrum Kultury i Sztuki w Skierniewicach i Akademia Twórczości,
- Bikestats Meteor 2017 (relacje z wycieczek rowerowych po powiecie skierniewickim),
- Mapa turystyczna województwa łódzkiego w aplikacji Traseo.

Zygmunt Wojski urodzony 30 lipca 1941 roku w Skierniewicach. W latach 1941-1966 mieszkał przy ulicy Łowickiej 105 w Skierniewicach. W latach późniejszych objechał służbowo, jako romanista-iberysta, całą Amerykę Łacińską, Hiszpanię, Francję, Rumunię, Niemcy i Portugalie. W magazynie

„Culture Avenue” można przeczytać wspomnienia z tych podróży w cyklu **„Ameryka Łacińska, Hiszpania, Portugalia, Francja i Niemcy oczami polskiego iberysty”**.

Wyspy Zielonego Przylądka, 2006. Część I.

Wyspy Zielonego Przylądka, 2006. Część II.

Kłujący Krzak Róży, czyli przemyślania

własne na temat książki pt. „Różewicz. Rekonstrukcja. Tom 1”.



Tadeusz Różewicz, Praga 2007 r., fot. wikimedia commons

Adam Lizakowski (*Chicago/Pieszyce*)

Magdalena Grochowska napisała pierwszy tom biografii pt. „Rekonstrukcja, tom 1” poety Tadeusza Różewicza dla tych wszystkich, co chcą poza wierszami dowiedzieć się czegoś więcej o ich twórcy. Rekonstrukcja poety i jego życia, czyli odtworzenie czegoś ważnego, istotnego, powstała na podstawie zachowanych wierszy, dramatów, prozy, czyli twórczości poety. Autorka wykorzystwała do tego celu także listy, fotografie, wspomnienia bliskich i dalekich poety, z którymi los go zetknął. Dzięki jej ogromniej pracy książka powołała żywych i umarłych do opowiedzenia o kimś, kogo praktycznie znał każdy Polak urodzony po II wojnie światowej poprzez lektury szkolne, gazety, teatry, słowem *mass media*. Historia opowiedziana swobodnie, czasem nawet mało dyskretnie, ale prawdziwie o życiu poety, Polaka.

Aby zrozumieć poetę i jego poezję, trzeba go zobaczyć poprzez jego życie, które było nie tylko inspiracją, ale także siłą napędową jego twórczości. Różewicz to barwny krzak róży w ogrodzie życia, mieszkający w kraju, gdzie największe święta państwowe to dni wielkich przegranych bitew, wojen, porażek na przestrzeni wieków, co to nie jest takie łatwe. Barwny krzak róży w szarym i biednym kraju przestraszonych ludzi, wiecznie się szamotających lub mocujących z wrogiem, którym była polityka, religia, literatura, kultura, własne korzenie, tożsamość,

wewnętrzne urazy na psychice, uczucia niespełnienia i niemocy.

Wielu czytelników może zadać sobie pytanie skoro rodaków były „miliony”, to, dlaczego właśnie on? Dlatego, że jak mało kto, on potrafił pisać ważne wiersze zwrócone do świata, który wraz z nim stwarzał nową polską rzeczywistość po II wojnie światowej. Jak mało kto, on miał wewnętrzną swobodę i zdolność wyśłowienia tego, co było nowe w polskiej poezji w drugiej połowie XX wieku. Był nowoczesny, a zarazem duch czasu przeszłego „miał go w swoim posiadaniu”, bo on należał do garstki poetów, którzy słyszeli ducha czasu, był jednym z najważniejszych z nich dźwigający na swoich ramionach wszystkie polskie obciążenia związane z historią i polityką. Z tego powodu odczuwał zmęczenie, jego ironia i cynizm dawały często znać o sobie, unikał ludzi ze swojego kręgu, nie brał udziału w zebraniach i jeśli musiał coś zrobić lub „wykonać” nie robił tego z uśmiechem, ale z grymasem lub kpiną. Taki był.

W biografii Grochowskiej Różewicz wciąż żyje, pisze o wojennych przeżyciach w czasie teraźniejszym, to one były ważnym elementem kształtującym jego osobowość, ale w przeciwieństwie do większości Polaków nie zachował ich tylko dla siebie. Wrześniową klęskę przyjął, jako klęskę. Majową także, co do tego nie miał żadnych złudzeń. On otworzył się na teraźniejszość i przyszłość, zaczął uczestniczyć w życiu kraju, jako dziennikarz i jako poeta. Zdał sobie szybko sprawę z tego gdzie jest jego

miejsce, nikogo ostro nie osądzał, a swojego życiowego wyboru nie traktował, jako poświęcenia się „wyższej sprawie”, niczego nie idealizował ani niczemu się nie dziwił.

Książka jest tak skomponowana (bo jest to prywatny punkt widzenia – spojrzenie autorki), aby czytelnik nie był narażony na męki wyższego rzędu typu, co poeta miał na myśli pisząc to i to, lub mówiąc to i to. Przykładów i dowodów na to jest wiele. Np. strona 28 – *Różewicz sucho donosi Tchórzewskiemu w 1969 r.... jakaś osa wlażała mi do wnętrza*. Pół strony dalej na 29 jest już rok 2003 – *Olek robi serię zdjęć twarzy Różewicza*.

Wbrew temu, że jest to „ciężka” lektura to łatwo się ją czyta.

Wielu czytelników poezji Tadeusza Różewicza będzie zdziwiona tym, że jego matka była córką rabina i w wieku 12 lat uciekła z domu, została z niego uprowadzona lub świadomie, jako dziecko, zdecydowała się na życie poza społecznością żydowską. Trafiła do księdza w miejscowości Osjaków koło Wielunia, który ją ochrzcił i wychował, przyuczył do zawodu, a z czasem wydał za mąż w wieku 18 lat za starszego od niej o 10 lat, przyszłego ojca poety, skromnego urzędnika państwowego Władysława.

Na przestrzeni stu lat rodzina matki poety „rozwiązała się jak mgła”. Tym sprawom jest poświęcony rozdział 3 pt. „Wyszedłeś z matki razem z krwią”. Pani Grochowska zgłębia ten temat z

dociekliwością detektywa, razem z nią odwiedzamy miejsca w przestrzeni i czasie, który został zamknięty w ludzkich słowach i pamięci. Matka jego była bardziej Polką i katoliczką niż wiele innych matek Polek od pokoleń mających „polską krew” od Bałtyku po Tatry. Wielu Polaków ma problem pod tym względem z Różewiczem i coraz częściej spotykam sformułowania, że Różewicz kamuflował lub ukrywał swoje żydowskie korzenie, argumentując swoje przepuszczenia tym, że matka urodziła się w rodzinie żydowskiej, więc musiała być Żydówka. Ludzie piszący o tym, że Różewicz miał cokolwiek wspólnego z Żydami, nie wiedzą o czym piszą. Między pochodzeniem, a wychowaniem może być ogromna różnica, wręcz przepaść kulturowa – w literaturze/poezji, pisaniu wierszy, gdy się pisze całym sobą, gdy potrzebna jest osobowość w stu procentach.

MAGDALENA GROCHOWSKA

RÓŻEWICZ

REKONSTRUKCJA

I



Poeta urodził się i dorastał w kulturze polskiej, tylko i wyłącznie mówił po polsku i myślał jak Polak, żył jak Polak, chodził na lekcje religii jak Polak i żadnej religii i kultury poza polską nie znał. Jakże to jest skrywanie czy kamuflaż swojego pochodzenia, można po raz kolejny się zapytać? A jeśli powstawały wiersze o holokauście, to nie dlatego, że napisał je, Żyd, ale dlatego, że czuł się człowiekiem, humanistą, którego drugi człowiek rozczarował. Cywilizacja nie zdała egzaminu z człowieczeństwa, poeta był zawstydzony tym, że jest członkiem społeczeństwa. Temat ten można zakończyć słowami żony poety,

która powiedziała – *Ani Tadeusz, ani matka nigdy na ten temat nie rozmawiali. (s.61)*. Trzeba dać wiarę słowom żony poety i uszanować milczenie matki.

Na pytania jak było w partyzantce, wcale nie odpowiadał, albo mówił „stare mądrości”, archaiczne doświadczenia żołnierzy wszystkich armii świata. Najpierw było o onucach, jak ważna jest umiejętność założenia ich na nogi, bo od nich zależało życie żołnierza/partyzanta. Mówił wprost, bez ogródek, że dzień zaczynał się od polowania na wszy, bo one były wszędzie – *a najgorsze były te na jajach, bo się w nie wżerały i nie było łatwo je wyciągnąć*. Czy tyle ma do powiedzenia partyzant po dwóch latach spędzonych w lesie?

Różewicz i Kraków

Po wojnie młody poeta, dzięki wcześniejszej korespondencji z uznanym poetą Julianem Przybosiem, z Częstochowy trafił do Krakowa. Zamieszkał w legendarnym już dzisiaj domu przy ulicy Krupniczej 22. Jak pisze autorka książki – *Machina terroru nabrała rozpędu (s. 271)*. Skończył się terror hitlerowski, rozpoczął się terror stalinowski, a Różewicz szukał własnej formy poetyckiej, sposobu, aby wyrazić siebie jak najprościej. Pyta czy jest możliwa poezja po Auschwitz? Koszmar wojny, bolesne doświadczenia, upadek człowieka, a nawet ludzkości. Powojenny niepokój, który przerodzi się w nieustający-wieczny

niepokój. Poezja nie może być protestem przeciw czemuś, skargą małego człowieka, krzykiem duszy, narzucaniem się Bogu ze swoimi problemami istnienia. Poniżenie człowieka przez człowieka, tortury, zbydlęcenie, udręka i szczucie jednego na drugiego, dzierganie numerków na rękach, które człowiek ma aby służyły mu do pracy. Krew przelana, blizny zadane na ciele i psychice, znieczulenie, czy wolno o tym zapomnieć? Jak można o tym pisać? Czy twórcy powinni oskarżać morderców, wszystkich tych, którzy są winni? Czy po Auschwitz da się jeszcze pisać wiersze? Różewicz odpowiada – *da się i pisze się, aby kurz zapomnienia nie pokrył pokrzywdzonych i zamordowanych.*

Wyprowadzka do Gliwic

Różewicz nie najlepiej się czuje w Krakowie, studiów nie kończy, w 1950 roku przenosi się do Gliwic, gdzie poślubia swoją ukochaną dziewczynę, Wiesławę i zakłada rodzinę. Jego młodszy, nieżyjący od kilku lat syn Jan określa to, jako „spadek wojenny po bracie”. Na prowincji śląskiej jest mu chyba dobrze, odnajduje się. Pracuje, jako dziennikarz, wyjeżdża za granicę, synowie Kamil i Jan rosną. W listach do znajomych świat literacki ten warszawsko-krakowski określa, jako „wychodek”, „wszystko literackie”, „monstrualne gówno”. Ma ku temu powody, aby tak pisać pod koniec roku 1951, gdy w Polsce stalinizm osiąga swoje apogeum. Seweryn Polak, Grzegorz Lasota i inni atakują go za Eliota i Miłosza, poecie z trudem udaje się ujść cało z tej

nagonki, chociaż, nie były to żarty i można było trafić do więzienia na wiele lat. Wiele lat później wspomniany Lasota powie, że zaczął się, jak wielu, stalinizmem.

Różewicz a Miłosz

Pod koniec książki autorka powołuje się na profesora Andrzeja Skrendo, który zastanawia się nad tym, dlaczego Różewicz nazwał Miłosza starszym bratem. I Skrendo sam sobie odpowiada – *To znaczy zaakceptować to, że jest się drugim – po starszym bracie*. Różewicz czuł się drugim wynikało to między innymi z tego, że to Miłosz napisał wiersz „Do Tadeusza Różewicza, poety”. (s. 398). Poza tym powtórzę za profesorem – dostał nagrodę Nobla i był bardziej znany w świecie niż Różewicz.

Na pytanie: „Kim jesteś?”, Tadeusz Różewicz odpowiedział przed laty: – *Kto mnie uważnie czyta, ten wie*.

Czesław Miłosz odpowiedziałby na sto stronach, albo napisałby książkę o tym kim jest.

Dzieciństwo

Spójrz na niemiecką mapę sztabową z czasu pierwszej

wojny:

To jest dolina Niewiaży, samo serce Litwy.

Kto nią jechał, po obu stronach widział białe dwory.

Tu oto Kałnoberże, naprzeciwko Szetejnie,

Dom, w którym się urodziłem, wyraźnie widoczny.

(Czesław Miłosz, „Rok 1911” z tomu „Kroniki”)

Dalej by jeszcze dodał, że urodził się 30 czerwca 1911 roku w Szetejniach na Litwie, jako syn Aleksandra Miłosza i Weroniki z Kunatów, że był świadkiem wszystkich ważniejszych wydarzeń XX wieku, począwszy od rewolucji październikowej, przed którą uciekał z rodzicami, jako 6-letni chłopiec, po ruchy hipisowskie w Berkeley i wojnę w Wietnamie, powstawanie „Solidarności”, aż do upadku komunizmu. Niemal wszystkie prądy myślowe i literackie począwszy od romantyzmu w XIX wieku po XX lecie międzywojenne, poprzez dwudziesty wiek stałyby się przedmiotem jego refleksji.

Różewicz jest ojcem współczesnej poezji polskiej, jaka powstała po II wojnie światowej, a nie Miłosz. Porównywać Miłosza i Różewicza to jakby porównywać księgowego z powiatowego miasteczka z prezesem *Bank of America*, Mozarta z Salierim, czy Picasso z Matissem, C.K. Norwida z Waltem Whitmanem, czy Boba Dylana z Wojciechem Młynarskim. Poetycko było mu o wiele bliżej do Przybosa niż do Miłosza.

Od strony politycznej Różewicz miałby, o czym rozmawiać z młodszym bratem Miłosza Andrzejem, który miał podobny wojenny życiorys. Żołnierz AK w Wilnie i na Litwie, ratował Żydów, udzielał pomocy polskim oficerom w ucieczce z obozów internowania. Pan Czesław takiego życiorysu nie miał, chodził po Warszawie w czasie wojny z litewskim paszportem.



Adam Lizakowski czyta książkę Magdaleny Grochowskiej o Tadeuszu Różewiczu

Książkę bardzo cienionej dziennikarki Magdaleny Grochowskiej polecam, z wielką niecierpliwością czekam na drugi tom biografii mojego poety z Wrocławia. Muszę dodać – ja też czekam – wraz z armią poetów, którzy urodzili się po wojnie i debiutowali nie ważne czy pięć, dziesięć, czy pięćdziesiąt lat temu. Wszyscy

jesteśmy żołnierzami Generała T. Różewicza.

***Źródła:** Wszystkie cytaty pochodzą z Magdalena Grochowska, Różewicz. Rekonstrukcja. Tom 1, Wydawnictwo Dowody na Istnienie, Warszawa, 2021 r.*

Adam Lizakowski grudzień, Świdnica 2021 r.

*

Zobacz też:

Jowialny Różewicz

Cracovia Danza

tańczy hopaka

Jolanta Łada-Zielke (*Hamburg*)



„Opera matematyczna” w wykonaniu Baletu „Cracovia Danza”,
premiera, Wrocław 2016 r.

**Czy można walczyć tańcząc? Tak, jeśli tańczy się hopaka.
Ten i inne tańce ukraińskie ma w repertuarze znany już
naszym Czytelnikom Balet Dworski Cracovia Danza z**

Krakowa. Jego założycielka i dyrektor artystyczny, a także tancerka, choreograf, nauczycielka tańca i historyk sztuki Romana Agnel powiada o byłych i aktualnych projektach tanecznych zespołu związanych z kulturą polsko-ukraińską.

Jolanta Łada-Zielke: Od kiedy Balet Dworski Cracovia Danza ma w repertuarze ukraińskie tańce ludowe?

Romana Agnel: Od dawna, konkretnie od naszego projektu *Ballet de nations* (balet narodów) z 2002 roku. Ten spektakl prezentował kulturę taneczną XVIII wieku w krajach Europy centralnej i wschodniej. Pokazaliśmy wtedy po raz pierwszy formę choreograficzną kozaka pochodzącą z tego okresu. Specjalizuję się w tańcach charakterystycznych i już podczas edukacji w Paryżu uczyłam się tańców ukraińskich i huculskich, w tym hopaka. Ten temat był mi zawsze bliski, dlatego z łatwością i przyjemnością opracowałam taką choreografię. Zamówiłam też uszycie specjalnego kostiumu do kozaka.

Ale nie był to jedyny taki projekt.

Później Filharmonia Narodowa w Warszawie zaproponowała nam udział w programie edukacyjnym poświęconym tańcom charakterystycznym Europy centralnej, podczas którego prezentowaliśmy tańce ukraińskie do muzyki na żywo, granej na

akordeonie. Zorganizowaliśmy także Dzień Tańca połączony z pokazem tańców charakterystycznych dla naszego regionu. Wykonywaliśmy tańce ukraińskie, głównie hopaka oraz huculskie. Następnie nawiązaliśmy współpracę z Teatrem Piosenki, z którym przygotowaliśmy *Operę Matematyczną*, zahaczającą o tematy ukraińskie. Na Ukrainie żyli i działali wielcy matematycy, jak Stefan Banach, który jest osobą łączącą Kraków ze Lwowem. W tym spektaklu zaprezentowaliśmy całą suitę tańców ukraińskich. Premiera odbyła się we Wrocławiu, a w Krakowie wystąpiliśmy z tym programem na Uniwersytecie Jagiellońskim podczas konferencji poświęconej matematyce.

Trzecim projektem był spektakl *Kozaki* w reżyserii Leszka Rembowskiego, który też jest specjalistą od tańców charakterystycznych. Muzykolog Maciej Prohaska rekonstruował suitę baletową z końca XVIII wieku, którą miał w repertuarze balet warszawski. W partyturze odkryliśmy wiele interesujących kompozycji kozaka, hopaka i kilku tańców węgierskich. Widowisko miało premierę w 2021 roku, poprzedzoną długimi przygotowaniem od strony choreograficznej i kostiumowej, bo chcieliśmy wiernie oddać te wszystkie tańce w stylistyce osiemnastowiecznej.

Czy kozak był popularny w Europie?

Potwierdza to nasze odkrycie, które włączyliśmy do naszego

repertuaru. To taniec salonowy *la cosacca* (kozak) na trzy osoby, znaleziony w traktacie francuskiego mistrza tańca Saint Leona z 1830 roku w Paryżu. W XIX wieku kozak należał do polskich tańców narodowych i znano go bardzo dobrze na salonach i w dworach szlacheckich. Istniało dużo utworów komponowanych w rytmie kozaka. Na balach tańczono go obowiązkowo. Może w XVIII wieku nie wyglądało to aż tak brawurowo, jak dziś w wykonaniu zespołów tanecznych z Ukrainy, ale stanowiło wyzwanie zarówno dla dam jak i dla panów. Kozak wymaga ogromnej sprawności fizycznej, jest żywiołowy, utrzymany w metrum parzystym i zawiera elementy akrobatyczne. Zaczyna się fragmentem wolnym, lirycznym, a potem nabiera tempa.

Kozaka znają prawie wszyscy, zwłaszcza w Polsce południowo-wschodniej. A czym różni się od niego hopak?

Jak nazwa wskazuje, jest związany z „hopkami”, co w języku ukraińskim oznacza skoki. Pochodzi z Siczy, siedziby Kozaków Zaporoskich. Był wzorowany na sztuce walki, która też nazywa się hopak. Zawiera elementy różnego rodzaju walk, na przykład wręcz i z szablami, więc też wymaga sprawności fizycznej. To właśnie z hopaka wykształcił się kozak, uważany za taniec mniej wysiłkowy, w którym biorą udział też kobiety, albo tańczy się go parami. Hopak i kozak to kwintesencja ukraińskiej suity.

Kobiety nie miały wstępu do Siczy Zaporoskiej, więc na

pewno nie tańczyły hopaka. Czy dziś już im wolno?

Zasadą tańców ukraińskich jest to, że kobiety i mężczyźni wykonują je osobno. Kobiety popisują się obrotami, albo biegiem za pomocą drobnych kroczków. Spódnice w stroju ludowym ukraińskim są wąskie i uniemożliwiają zamaszyste ruchy. Mężczyźni wywijają hołubce, skaczą wysoko, wykonują nawet figury akrobatyczne, takie jak obroty w powietrzu lub wirowanie. Ale zdarza się, że kobiety i mężczyźni tańczą w parach i wykonują hołubce podobne do naszych, krakowskich.

Hopak to taniec waleczny, a teraz Ukraińcy walczą w obronie swojej ojczyzny. Czy ostatnie wydarzenia zrodziły potrzebę pokazania tej waleczności również na scenie?

W Polsce gości obecnie Narodowy Balet Ukrainy im. Pavlo Virki, który zaczął tu swoje *tournèe* jeszcze przed wojną. W obecnej sytuacji zaprezentował ukraińskie tańce nawiązujące do waleczności z większym entuzjazmem, przekonaniem i pasją, niż zwykle. Na razie nie mogą wrócić do kraju, podobnie jak zespół Opery Kijowskiej, który przebywa w Paryżu. Na Ukrainie, podobnie jak w Polsce, działa dużo zespołów wykonujących tańce ludowe. W Kijowie istnieje Centrum Tańców Narodowych, które prezentuje sztukę taneczną na bardzo wysokim poziomie. Wszelkie działania popierające dziedzictwo ludowe tego kraju były bardzo dobrze wspierane finansowo. Teraz zespoły zawiesiły

działalność, a tancerze i niektóre tancerki chwytają za broń. Wstrząsnęła nami wiadomość o tragicznej śmierci pierwszego solisty baletu Opery Kijowskiej Artema Datsishina, który poszedł walczyć i zginął w pierwszych dniach wojny.



Balet Dworski Cracovia Danza wykonuje tańce ukraińskie, fot. Tomasz Korczyński



Balet Dworski Cracovia Danza wykonuje tańce ukraińskie, fot. Tomasz Korczyński

W jaki sposób Cracovia Danza angażuje się w pomoc dla Ukrainy?

Przeznaczaliśmy na rzecz Ukrainy dochód z naszego spektaklu tanecznego *Szachy*, wystawionego 29 marca w krakowskim Teatrze Varietà. Zaprosiliśmy na widownię ukraińskie dzieci, które chciały choć trochę oderwać się od rzeczywistości bycia uchodźcą. Program przedstawienia przetłumaczyliśmy na język ukraiński. Rozdaliśmy też darmowe wejściówki dla Ukraińców, którzy przebywają w Krakowie i dla rodzin, które udzieliły im schronienia. Myślimy o zorganizowaniu osobnych lekcji tańca dla

ukraińskich dzieci i ich matek. W naszej nowej, krakowskiej siedzibie przy ulicy Szlak mamy do dyspozycji dwie sale baletowe. W kwietniu bierzemy udział w akcji „Tańczymy” organizowanej przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca w Polsce, w ramach której organizujemy zajęcia taneczne dla dzieci ukraińskich oraz happening „Balet w mieście”, podczas którego kilkakrotnie odtańczymy kozaka na ulicach Krakowa. To będzie nasz prezent z okazji Dnia Tańca dla naszych ukraińskich sąsiadów, przede wszystkim dla tamtejszych tancerzy. Międzynarodowy Dzień Tańca jest świętem, które łączy wszystkich, a Ukraińcom trudno będzie wziąć w nim udział w tym roku.

Wspieracie Wasze koleżanki i kolegów z Ukrainy również w sensie zawodowym?

Tak, zgłaszają się do nas artyści z Ukrainy, więc będziemy ich angażować w nasze projekty, z których większość organizujemy *ad hoc*. Zgłosiliśmy gotowość przyjęcia ukraińskich tancerzy na nasze lekcje baletu i tańca klasycznego. Gdyby pojawił się jakiś choreograf, lub choreografka, którzy chcieliby z nami współpracować, jesteśmy otwarci. Mamy stroje ukraińskie jeszcze z poprzednich spektakli. Nasz adres jest w bazie danych, stworzonej na potrzeby artystów baletu i tancerzy. Podczas tegorocznego Festiwalu Tańców Dworskich zaprezentujemy fragmenty spektaklu *Kozaki*, aby pokazać wpływ kultury i sztuki

ukraińskiej na polską tradycję baletową i taneczną, nawet tę osiemnastowieczną. To bardzo istotne, bo oznacza, że Ukraina poprzez taniec była obecna przez cały czas na kulturalnej mapie Europy.

*



Romana Agnel, New Delhi 2020 r., fot. Innee Singh

Romana Agnel – polska tancerka, choreograf, pedagog tańca i historyk sztuki. Absolwentka Społecznej Szkoły Baletowej (klasa prof. Marty Mirockiej) w Krakowie, a następnie wydziału historii sztuki paryskiej Sorbony. W 1997 założyła

profesjonalny Balet Dworski – Ardente Sole. W sierpniu 2000 zorganizowała (na Wawelu) pierwszy w świecie Festiwal Tańców Dworskich „Cracovia Danza”, który od tego czasu odbywa się cyklicznie. Obecnie pełni funkcję Dyrektora Naczelnego i Artystycznego Baletu Dworskiego Cracovia Danza.

*

Zobacz też:

Żyjemy polonezem

Kartki z dziennika pandemii. Świat

u kresu swojego istnienia.



fot. Pixabay

Katarzyna Szrodt (Montreal)

Bakcyl dżumy nie umiera i nie znika. Nadejdzie być może dzień, kiedy, na nieszczęście ludzi i dla ich nauki, dżuma

obudzi swe szczury i pośle je, by umierały w szczęśliwym mieście.

I stało się to, czego obawiał się Albert Camus, pisząc w 1947 roku „Dżumę”. Dżuma powróciła w postaci pandemii covidu. Prorocze słowa pisarza trafiają w sedno sytuacji, tak, jak kolejne zdanie jego powieści:

Na świecie było tyle dżum, co wojen. Mimo to dżumy i wojny zastają ludzi zawsze tak samo zaskoczonych.

Tak, pandemia zaskoczyła nas wszystkich. Pojawiła się w momencie, gdy świat pędził, kula ziemską obracała się z szaleńczą prędkością, nie zostawiając nam chwili na refleksję i odpowiedź na pytanie, po co i dokąd tak pędzimy, jaki ten pęd ma sens? Nagle życie wyhamowało. Od ponad dwóch lat doświadczaliśmy strachu o swoje zdrowie i zdrowie najbliższych, zmagaliśmy się z restrykcjami ograniczającymi naszą wolność, żyliśmy w izolacji, nasza aktywność zastąpiona życiem wirtualnym wyzwalala samotność, depresję, zniechęcenie, a złe wiadomości sączące się z mediów każdego dnia, umacniały w nas poczucie lęku i niepewności jutra. Nic nie jest już takie samo, jak było przed pandemią. Niezależnie od tego, jak długo jeszcze będziemy żyć z zakrytą połową twarzy, w gumowych

rękawiczkach, dotykając się łokciami na powitanie, w strachu przed innymi, w prawie całkowitym zaniku życia towarzyskiego, społecznego, rodzinnego – to doświadczenie nas wszystkich naznaczyło i przemieniło.

Jak pisać o pięknie, literaturze, muzyce, dziełach sztuki, gdy świat opanowała pandemia, a wraz z nią pojawił się wszechobecny absurd i niepewność jutra? Lęk, choroba i śmierć urządziły nam czarny karnawał. Nie sposób odizolować się od ciemnych myśli mieszkających w naszych głowach, od poczucia zagrożenia i niezrozumienia otaczającej nas rzeczywistości. Pandemia nie jest jednak jedyną dręczącą nas plagą. Odnoszę wrażenie, że teraz każdy temat dzieli ludzi, jakbyśmy zamieszkali w wielkiej Wieży Babel, w której mówimy różnymi językami, nie rozumiejąc co mówi druga osoba. Sprawy polityki, obyczajów, płci, religii, pieniędzy – dzielą bliskich zostawiając między nimi gorzki osad niezgody. Niepokojący jest brak skutecznych rozwiązań problemu światowej migracji ludności z krajów biednych, zniszczonych wojną do krajów zamożnych. Kraje europejskie nie mogą przyjmować bez końca „innych, obcych, zbędnych”, jednak nie wypracowały do tej pory form opieki nad uchodźcami z Syrii, Iranu, Iraku, Bangladeszu, Afganistanu, którzy nieustannie uciekają ze swoich krajów z nadzieją na lepsze życie gdzie indziej. Obozy w Turcji, Grecji, we Francji, we Włoszech, na wyspie Manus i w Port Moresby na Pacyfiku, niewiele różnią się od więzień. Obóz uchodźców w Calais

nazwano „dżunglą”. Myślę o dzieciach w tych obozach, o ich nienormalnym życiu kształtującym przyszłe pokolenie. Jednak są miejsca na mapie jeszcze ciemniejsze, w których uchodźców pozostawia się bez dachu nad głową w lesie, zimą. – *Nigdy nie będę kochał tego świata, gdzie dzieci są torturowane* – napisał Camus, a przecież w lesie, na granicy polsko-białoruskiej wśród uchodźców były też matki z dziećmi.

Znów zadaję sobie pytanie – czy mam prawo rozkoszować się książką, koncertem, wystawą, poszukiwać wysp szczęśliwych wyizolowanych od rzeczywistości, na których łatwo utracić poczucie styczności ze światem, gdy świat znalazł się u kresu swego istnienia?

– *I tak właśnie kończy się świat – nie hukiem lecz skomleniem* – napisał w „Jałowej ziemi” T.S. Eliot, jeden z wybitnych wizjonerów literatury. Napisał prawdę, a prawda jest zawsze trudna do przyjęcia. Głucho dźwięczą słowa, że jestem egzystencjalnie zgubiona w dzisiejszym świecie. Odczuwam dewaluację człowieczeństwa i bankructwo wartości humanitarnych. Człowiek w naszych czasach nie brzmi dumnie – czy w czasach Gorkiego „brzmiał dumnie”? Nie jestem pewna. Jak bohaterowie sztuk Becketta, działam w nędznych dekoracjach rzeczywistości, przestałam rozumieć otaczający mnie świat, nie jestem z nim w zgodzie. W zimnym lesie dokonał się kres człowieczeństwa. Szukam więc mistrzów, by pomogli mi

zrozumieć i ocalili mnie od rozpacz.

Widziałeś uchodźców, którzy szli donikąd,

Słyszałeś oprawców, którzy radośnie śpiewali.

Powinieneś opiewać okaleczony świat...

Opiewaj okaleczony świat

i szare piórko, zgubione przez drozda,

i delikatne światło, które błądzi i znika

i powraca. (Spróbuj opiewać okaleczony świat, A.
Zagajewski)

Adam Zagajewski, mając świadomość tragizmu historii, jak i naszego istnienia, potrafił rozkoszować się pięknem chwili, czerpać siłę z uniesień muzycznych, delektował się malarstwem. Skrupulatnie oddzielał światło od cienia, by nie zgubić wąskiej ścieżki prowadzącej ku stoickiej mądrości i azyłowi otium:

...Czekaj na dzień jasny i wysoki,

Na godzinę bez wątpliwości i bólu. (Czekaj na dzień
jesienny, A. Zagajewski)

Zastanawiam się, jak poeta poradziłby sobie teraz z falą nieszczęść i lęków, które nas zalały. Głos poety zamilkł rok temu i nie prowadzi już mnie, jak Wirgiliusz Dantego w „Boskiej Komedii”, przez labirynt zwątpień, gdy właśnie teraz, jak nigdy wcześniej, potrzebuję wsparcia mądrości, gdyż odnoszę wrażenie, że stanęliśmy w naszej wędrówce u wrót piekła.

– *Porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzicie* – głosi napis nad wejściem do piekła w Pieśni Trzeciej „La divina commedia”.

Nie, nie sposób żyć bez nadziei na to, że życie odmieni się na lepsze. Ten płomyczek musi płonąć i zagrzewać nas do życia i działania. Albert Camus, mając poczucie absurdu istnienia, w eseju „Mit Syzyfa” stawia tytułowego bohatera za wzór heroizmu i wytrwałości:

Trzeba walczyć w taki czy inny sposób i nie padać na kolana.

To optymizm paradoksalny – z absurdu ludzkiej egzystencji wyprowadzony zostaje dowód na sens działania. W życiu bowiem samym w sobie tkwi jego sens. Człowiek absurdalny to człowiek świadomy tego, że „los jest jego własnością, a kamień jego kamieniem”, a siłą człowieka jest to, że potrafi podźwignąć się z porażki i zacząć na nowo. Józef Czapski, mistrz życia dla wielu humanistów, malarz i pisarz, Człowiek w absolutnym tego słowa znaczeniu, gdy miał zły dzień, czuł przyływ smutku i bezradności, radził „malować martwą naturę”, czyli zrobić gest w stronę wypełnienia dnia czymś sensownym – plamą na obrazie, zapisanym tekstem, skupieniem nad lekturą, wsłuchaniem się w głos poety.

Ryszard Krynicki, poeta głębokiej refleksji i głębokiego smutku, w wierszu „Kto wie”, podsyca gasnący płomyk nadziei:

Jeżeli wszyscy razem

w naszych wszystkich językach

w tej samej chwili krzykniemy „Ratunku”,

to kto wie, czy po latach świetlnych

niezniszczalne stacje zagłuszające

naszego drugiego świata

nie odbiorą odpowiedzi

brzmiacej jak echo. (Kto wie, Ryszard Krynicki)

Coraz więcej kół ratunkowych można odnaleźć, by nie zatonać w smutku, zwątpieniu, samotności, nie zaniknąć w ekranie komputera. Czas pandemii sprowadza nas wszystkich do elementarnych pytań o sens egzystencji, o istotne wartości w życiu, o nasze miejsce w tym niedoskonałym świecie. Uczymy się odnajdować radość w miłości, przyjaźni, w prostych, a przecież ważnych czynnościach dnia, w ćwiczeniu ducha i ciała, medytacji, by uwolnić myśli od nadmiaru złych informacji. Praca nad sobą i zwrócenie się w stronę Piękna i Natury. Tak, a jednak – Piękno i Natura – te dwie magiczne siły przychodzą do mnie z pomocą:

Ocal mnie, uchron, wierna podróży,

Od kłamstwa mego i naszej epoki,

Ty mnie strzeż, Aniele i Strózu,

Lecz ty prowadź, Biały Obłoku... (Ocal mnie, prowadź,
Ryszard Krynicki)

*Pisane z nadzieją – Katarzyna Szrodt –
styczeń 2022*

Zobacz też:

Żegnając Adama Zagajewskiego